ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

No 19

WARSZAWA
DNIA 11 MAJA 1913 R.

„Królową wszystkich sztuk jest sztuka życia".
Oskar Wilde „Intentions".



OSKAR WILDE.

OSKAR WILDE.

Któż nie zna historji świetnego lorda Oskara Wilde'a, bożyszcza dekadentów angielskich, który z wyżyn sławy i powodzenia stoczył się na same dno nędzy, z salonów—do więzienia? Któż nie zna paradoksalnego rycerza [sztuki, który potrzebował silnego pchnięcia cierpienia, by z poza migotliwych jego chimer zabrzmiał przejmujący głos psalmodji więziennego „De profundis“?

Stanowisko Wilde'a, błyskotliwe jego paradoksy o prawdzie, czynie, sztuce, wreszcie sposób jego życia znalazły wielokrotne potępienie. Po pierwszem uniesieniu snobizmu ci, co się nim zachwycali, tem gorliwiej obrzucali go błotem. Płytkość tłumu, który ma na ustach formułki moralne, by nigdy nie stosować ich w życiu, powstała na wyniosłego kochanka muz, który nastrój piękna postawił wyżej od całej rzeczywistości z jej pracą, dążeniami społecznemi, filantropją. Paradoksy Oskara Wilde'a nie są prawdami, na których ludzkość może oprzeć w szerokim zakresie swe życie. Nie wystarczy ich na krótki nawet okres dla nasycenia duszy i wytrwania nie wśród ciągłej uczty Alcybiadesa, lecz wśród codziennego, ciężkiego dnia. A jednak zjawisko to było odświętnem, na swoj sposób wyzwalającem. I miało głębokie swe znaczenie, jakkolwiek z pozoru wydawało się tylką igraszką chimerycznego lorda.

Wyobraźmy sobie praktyczną, tępo — moralizatorską Anglję, która bynajmniej wyjątkiem wśród europejskich społeczeństw nie jest. Rzeczywistość bez polotu pochłania w niej ludzi. Każda rzecz jest otaksowana, każdy moment szczelnie wypełniany. Brzęczący „business“ przystosowuje do swych potrzeb serca i dusze. Hasło „być przedewszystkiem praktycznym“ panuje nad życiem.

Wśród beczek z towarem kolonialnym, kontuarów, okratowanych kas, nagle wystrzela rzadka, egzotyczna roślina. I śmiało, szyderczo rzuca kupczącemu narodowi w oczy swoją dewizę beztroskiego trubadura; niepraktyczność nadewszystko.

Sztuka również stała się praktyczną służebnicą różnych tendencji. Przystosowano do niej mierniki pruderji purytańskiej, użyteczności kupieckiej. Sztuka na najwyższych swych szczeblach nie stoi poza etyką, ideą narodową lub społeczną. Nieśmiertelne utwory Słowackiego, Shelley'a, Schillera są tego dowodem. Duch genialny, potężny ma w sobie wszystkie najwyższe pierwiastki ludzkości, a więc wszystkie jego najpromienniejsze idee i uczucia. Lecz wszystko to jest w nim nowe, twórcze, ożywcze. Moralność szerokich mas jest szablonem, wytartym liczmanem, lampą wygasłą i dlatego pełną czadu. Niema w niej nic twórczego, nie podnieca i nie podnosi ona życia, lecz je dławi, kładąc ciężką pastorską łapę na wystrzelające nowe prądy.

W takich chwilach panowania moralnej formy, protest przeciwko „moralności“ (prawdopodobnie rozmaitych pań Dulskich) jest żywem tchnieniem. Lecz wszelki protest jest krańcowy. Oto pisze Wilde w swych „Intentions“: „Wszelka sztuka jest niemoralna z wyjątkiem owych nizkich form sztuki zmysłowej lub dydaktycznej, mających pobudzać do działalności w kierunku dobrego lub złego. Bo wszelkiego rodzaju czyn należy do dziedziny etyki. Celem sztuki jest poprostu stworzenie nastroju. Czy taki tryb życia jest niepraktyczny? O, nie tak łatwo być niepraktycznym, jak sobie wyobraża głupi filister. Dobrze byłoby w Anglji, gdyby tak było. W żadnym kraju na świecie ludzie niepraktyczni nie są tak pożądani jak u nas“.

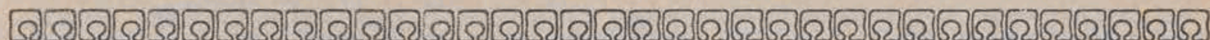
Dowodząc swej tezy, pisał Wilde rzeczy tak stojące po za wszelką etyką, jak „Zbrodnia lorda Saville“ i in. Lecz nie tylko niepraktycznym, niemoralnym być jest również trudniej, niż sobie wyobrażają moraliści. Natura wytworna mimowoli lgnie do zjawisk wytwornych, a czyż nie są nimi czyny dobre? I grunt wytworności etycznej mimowoli wynurza się raz wraz z pod mętnej, hulaszczej fali jego życia. W „Obrazie Doriana Grey'a“, w „Duchu z Canterville”, „Wachlarzu lady Windermere“, wreszcie w swych prześlicznych bajkach, jakby poczętych z miękkiego, miłosiernego ducha Andersena („The happy Prince and other Stories“ „The hause of Pomegranates“) przychodzi u Wilde'a do głosu etyka. Lecz nie jest to surowa, twarda, purytańska pani. Nie jest to sędzia i prawodawca. Jest to nie znająca kodeksów i konwenansów subtelna dobroć

ludzkiego serca. I te wszystkie wrodzone pierwiastki wytrysną w nim w czyste źródło, pod uderzeniem straszliwego bólu we wspaniałem „De profundis".

Tymczasem szczęśliwy „król życia", jak go nazywano, tworząc dzieła sztuki i własne swe życie, jako najpierwsze z nich, odgrodził się od rzeczywistości. Bezinteresowne piękno jej przeciwstawił, brutalnemu faktowi, prawdzie nieosłonionej przeciwstawił kłamstwo, którego bronił w jednym ze swych djalogów o sztuce (Intentions). Kamieniem obrazy jest tu znowu wyraz tylko. Chodzi mu o prawa fantazji, przekształcającej rzeczywistośc, w kierunku piękna i intensywności nie zaś o to, co się kłamstwem w zwykłem pojęciu nazywa. Stanowisko Wilde'a jest protestem indywidualizmu przeciwko zbiorowości i marzenia przeciwko rzeczywistości. Gdy jednostka nie może ruszać się w stłoczonym tłumie, musi wyjść z niego, by odetchnąć. Gdy rzeczywistość przytłacza sobą dusze, muszą one odejść w marzenie, by tam dostać skrzydeł. Zerwanie z rzeczywistością i czynem jest dekadentyzmem i na długą metę wystarczyć nie może lecz od czasu do czasu jest koniecznością dla artystów i ludzi twórczych, by właśnie zdolność do twóczości odzyskać.

Oskar Wilde schronił się do zaklętego pałacu sztuki przed tem brutalnem życiem, które go jednak w końcu miało dosięgnąć. Sztukę wyniósł ponad życie, przypisał jej (w znacznej części słusznie) kształtujący wpływ na życie. Lecz poeta nastroju nie potrafił zawiesić nad sobą długo żadnego prawa wyższego i nowego, prócz kultu piękna i użycia. Wtedy przez okrutną zemstę losu dosięgło go tępe i bezmyślne prawo społeczne. Motłoch wywlókł z zaklętego pałacu kwiat egzotyczny i złamał jego łodygę. Pociekł sok ze zwieszonej łodygi i miał cudny aromat już nie odurzającej, cielesnej tuberozy, lecz lilii wykwitłej na niebieskiej łące.

Savitri.



Z MYŚLI OSKARA WILDE'A.

Życie już samo przez się jest sztuką i ma odrębny swój styl, nie mniej jak sztuki piękne, które są jego wyrazem.

Wszystkie przedmioty piękna — przynależą do tego samego stulecia.

Sztuka tak samo ulega modzie jak i suknie, a rzadko kto potrafi się otrząsnąć z pod wpływu zwyczaju i nowości.

Niema absolutnie prawdy w sztuce. Prawdą w sztuce jest to, czego przeciwstawienie również nią będzie.

Różnorodne są czynniki sztuki, lecz zasadą artystycznego rezultatu jest jedność.

Charakterystyczną cechą pięknego dzieła jest fakt, że każdy może włożyć weń, co zechce i widzieć w niem to, co mu się żywnie podoba.

Ani sztuka, ani też nauka niema nic wspólnego z pochwałą lub naganą z punktu widzenia moralności.

Grzech winien być samotnym i nie mieć wspólników.

Rzeczy są, ponieważ je widzimy, a co widzimy i jak widzimy—zależy od sztuki, która na nas wpływ swój wywarła.

Muzyka nigdy nie objawia ostatecznej swojej tajni.

Patrjotyzm, muszę to powiedzieć, nie jest koniecznym warunkiem sztuki. Dla artysty równa się to podporządkowaniu uczuć ogólnych, uczuciom osobistym, publiczność zaś dostaje dzieło sztuki w bardziej pociągającej i popularnej postaci.

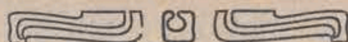
Cnoty domowe nie są prawdziwą podstawą sztuki, chociaż mogą służyć za doskonałą reklamę dla drugorzędnych artystów.

Myślenie jest rzeczą najbardziej niezdrową na tym świecie, a ludzie umierają z tego powodu tak samo jak z powodu każdej innej choroby.

Społeczeństwo prędzej czy później powróci do swego utraconego kierownika, do kulturalnego, czarującego kłamcy. Celem bowiem jego jest olśniewać, zachwycać, sprawiać rozkosz. On jest właściwą podstawą cywilizowanego społeczeństwa.

Naturalizm, jako metoda, jest zupełnie chybiony.

Natura nie jest pramatką, która nas zrodziła, lecz naszym wytworem. W naszym mózgu dojrzewa ona do życia.



Wpływ Wilde'a na współczesność.

Oskar Wilde rzekł podobno pewnego razu, iż tworzył połową jeno swego talentu, drugą bowiem połową poświęcił — życiu. Stąd twórczość jego literacka poniosła straty nieobliczalne, zaś życie jego zewnętrzne uzyskało nieobliczalne wspomogi i zasiłki czaru, który tak się ongi promienił wokół jego postaci. To też działalność literacka Wilde'a łączy się nieodparcie i niepodzielnie ze swem dopełnieniem życiowem. Żyć i tworzyć — to jedno. Życie powinno się sztuce upodobnić. Powinno nabrać cech twórczych i twórczego przepychu. Powinno stać się—niezależne, jako wytwór najtajniejszych marzeń i pożądań jednostki.

Żywe słowo Wilde'a, którem hojnie obdarzał przyjaciół i znajomych, ma w jego twórczości doniosłość tak samo wielką, jak słowo—drukowane. Jedno i drugie zarówno wywierało wpływ na tych, którzy w duszę jego byli zapatrzeni. Przemawiał i do czytelników i do słuchaczy. To też wpływy jego, pomimo swych błyskotliwych pozorów, były jednocześnie tak samo nieobliczalne i niepochwytne, jak samo życie i sama treść duchowa Wilde'a.

Podniósł życie do wyżyn sztuki i uczył ludzi sztuki istnienia dla istnienia. Słuchano go i podziwiano, a ów posłuch i podziw był źródłem, z którego każdy mógł zaczerpnąć nowego poglądu na życie i na sztukę. Indywidualista z krwi i kości — uczył też Wilde pogardy dla wszelkiego naśladownictwa, dla wszelkich wpływów. Kochał niezależność, odrębność, niezmysłowość i niespodzianość. Nie chciał i nie mógł wytworzyć t. z. szkoły, opartej na prawach, prawidłach i zasadach stałych. Przeciwnie—otaczał aureolą—zmienność, swobodę i bezprawie, gdyż ze stanowiska tłumu natchnieniem zdobyte prawa jednostki są bezprawiem.

To też wpływy Wilde'a, jak już orzekliśmy wyżej, są niepochwytne, gdyż podburzają każdą jednostkę do wyodrębnienia się i uniezależnienia nawet od samego mistrza. Trudno wpływy owe przyłapać na gorącym uczynku, trudno je określić dokładnie, trudno, że tak powiemy, dochodzić ojcowstwa wówczas, gdy ani rodzic, ani potomkowie nie uznają żadnych węzłów powinowactwa. Może właśnie w tem nieuznaniu wpływów szukać ich raczej należy.

Znak potępieńczy, który na męczeńskiem czole Wilde'a wyryła własna jego ojczyzna, przez czas długi był postrachem dla spragnionych powodzenia i poczytności autorów, którzy innym wpływom poddać się w braku własnej inicjatywy twórczej woleli. Za to we Francji pewna część literatury młodej, zdążającej do „odwracania wartości“ i do aforystycznych rozstrzygnięć najzawilszych zadań życia i śmierci— nosi na sobie bezwarunkowo piętno wpływów Wilde'a.

Wpływy te wszakże rozwiały się po duszach subtelnych, jak barwny opył skrzydeł motylich. Zdawałoby się, iż niezależny duch Wilde'a nie chciał innym, bratnim duchom zaciążyć, aby im nie ująć drogiej mu zawsze niezależności. Oskrzydlił je tylko, pobudził do lotu, rozzuchwalił, dał im zezwolenie na to, aby odsłoniły swe wnętrze, pozostając sobą. Wielka jest dobroczynność takich wpływów, dalekich od despotyzmu zasad, formułek i nakazów. Jest to raczej przywrócenie wolności i swobody tym, którzy dotąd byli niewolnikami i więźniami. Dla dusz znękanych prawodawstwem utartych zasad sztuki, był Wilde zbawcą i pocieszycielem. Wniósł do ich izb zmroczniałych—światło ożywczego słońca. Otworzył ich nieme dotąd usta, aby nie wstydziły się mówić po swojemu, swoim własnym głosem, — i oczom ich pozwolił swobodnie, po swojemu odbijać przedmioty dookolne. Jeśli chodzi o rodzaje poszczególne jego wynalazków literackich, którymi naśladowcy posługiwać się mogą, wymienić tu należy—aforystycznie skupione w sobie bajki,—baśniową koncepcją podsnute powieści — oraz dramaty śpiewne, których całość rytmiczna jest jakoby rozdjalogowanym poematem. Proza Wilde'a jest śpiewna, jak wiersz, który się pozbył rymów dlatego, aby je przedzierzgnąć w domysł pozasłowny. Twórczość jego—to gra na fletni lub na jakimś nieznanym instrumencie strunnym. Ów czar strunny lub fletniowy wyraźnieje najbardziej w dramacie p. t. „Salome.“ Łatwo też znaleźć uczniów oczarowanych i do głębi zaklęciem twórczym Wilde'a odnowionych, trudno wszakże wypatrzeć zwykłych, w trywialnem znaczeniu tego wyrazu naśladowców. Naśladowców takich Wilde nie posiada. Brak ten jest dostojną cechą jego wpływów. Przemawiał do dusz subtelnych, pomijał trywialne. Te ostatnie mogły mu jeno odpowiedzieć nienawiścią, tembardziej, że wpływy literackie Wilde'a były ściśle złączone z czarem jego osoby, która się stała przedmiotem zazdrości, potwarzy i niezrozumienia.

André Gide tak mówi o Wildzie — „Wilde nie jest wielkim pisarzem. Pas ratunkowy z ołowiu, który mu rzucono, dopełnił tylko jego zguby. Dzieła jego, dalekie od możności utrzymania go na powierzchni, zdawały się tonąć z nim razem. Nadaremno rąk kilkoro wyciągnęło się ku niemu. Fala ludzka zamknęła się ponad nim. Wszystko było skończone“. Gide mówi tu o wiadomym procesie i ciągnie dalej:

„Nie można było wówczas nawet marzyć o zgoła odmiennej obronie. Zamiast starannie osłaniać człowieka jego własnemi dziełami, trzeba było ukazać przedewszystkiem godnego podziwu człowieka, a potem dopiero dzieła same, które przez to nabrałyby stosownego oświetlenia.—„Wszystek mój geniusz oddałem życiu memu,—dziełom zaś moim oddałem tylko talent“— zwykł mawiać Wilde.

Wielki pisarz?—Bynajmniej, lecz wielki *życiowiec*, jeśli można użyć tego słowa w najnow-

szem jego znaczeniu. Na wzór filozofów greckich, Wilde nie pisał, lecz wygłaszał i przeżywał swą mądrość, powierzając ją lekkomyślnie zmiennej pamięci ludzkiej i zapisując ją jakoby na wodzie."

Tak mówi Gide. Słowa jego trafiają nam do przekonania, Wilde był przedewszystkiem wybitnym okazem ludzkim. Subtelny, skrzydlaty i opętańczo uśmiechnięty zażywacz istnienia, rozdawca marzeń i pomysłów rzadkich, mistrz upojeń i napomknień, doskonały rozmówca, który duszę motylą łączył w sobie z namiętnem sercem ludzkiem. Pisać o jego wpływach na „literaturę"—znaczy tyle, co pisać jego biografię. Wpływy te bowiem były raczej wpływami człowieka, niżli pisarza. Właściwym jego darem był boski dar rozpraszania się po całym bezmiarze życia. Rozproszony, nakształ promieni słonecznych, duch jego był wszędzie i nigdzie zarazem. Wszystko naokół było mu zarówno blizkie i dalekie. Miał tyleż przewagi nad otoczeniem, ile to ostatnie miało nad nim. Hypnotyzował je, a jednocześnie sam się hypnozie poddawał. I w chwili, gdy innych porywał, — porywało go życie, aby unieść tam, kędy wola jego nie mogła już dzierżyć ani wioseł, ani steru. To też nie można go nazwać sternikiem, drogowskazem, przystanią, nauczycielem. Był „ulubieńcem życia" i miał takie jeno wpływy na dusze i umysły, jakie mieć może ulubieniec. Czarował, zachwycał, nęcił, kusił i mamił... Mamił szczęściem, uśmiechem, przepychem, nagłym snem, niespodzianem urojeniem. Nie wiem, czy skusił kogokolwiek do naśladowania swych utworów. Ale z pewnością niejeden z tych, którzy go znali, chciał posiąść to samo szczęście, powodzenie, tę samą umiejętność życia i czarowania ludzi, ten sam dar słowa żywego... Był bardziej udany, niżli jego utwory. Nazwisko twórcy stanowiło przez czas długi połowę niemal wartości i czaru samych utworów. Nakształt Salome — nie umiał życiu powiedzieć nic innego, prócz tych cudownych wyrazów: chcę, pragnę, pożądam! W treści tych wyrazów tkwi tyleż woli, ile niewoli, a w ich cieniu tajemniczym spotkały się — skrzydła i kajdany. Spotkały się po to, aby się zmierzyć ze sobą i przekonać się o tem, gdzie więcej siły, gdzie mniej brzemienia? Skutkiem tej szermierki był mus wyjrzenia po za ukochane przed chwilą życie, mus nagłego oderwania się od wszelkiej ziemskości, mus szukania szczęścia i przepychu poza tem wszystkiem, co oczy zobaczyć, uszy—posłyszeć, a dłonie—namacać mogą. Lecz mus ten był jednocześnie upadkiem i śmiercią rozbarwionego w słońcu motyla, który nie mógł znieść żadnych ciemności i który nie potrafił czuć się „panem tego świata, gdy go zamknięto w łupinie od orzecha"... Ból jego pozostał bólem i nie przetopił się w całkowitą rezygnację—nie przeobraził się w pogardę dla sprawców — ani też nie przetworzył się w męczeńskie, ekstatyczne poczucie misji spełnionej. Zbyt subtelna, zbyt słaba, zbyt skrzydlata była to dusza. Ptak, w klatce uwięziony, śpiewa, lecz motyl, pozbawiony swobody, ginie... słabszy jest od ptaka, a jednak bardziej od niego niezależny. Zda się, iż nie posiada nic — prócz skrzydeł... Nie można go skrępować—można tylko—zabić. Jest nietykalny i lada zdmuchnięcie pyłu z jego skrzydeł—plami go świętokradztwem i przyprawia o niemożność i bezpotrzebę dalszego istnienia. Uwięzić motyla, zadać mu tortury, pozbawić lotu, zbrukać skrzydła jego potępieńczem błotem wzburzonej „moralności"—wielka to zapewne radość dla rąk brutalnych. Wszakże znicestwienie owych skrzydeł raz na zawsze utrwaliło je w pamięci ludzkiej. Niegdyś dwa barwne pióropusze, dzisiaj dwa widma krwawe—kołyszą się w tej pamięci, zachowując swój wieczny wzlot ku górze,—wzlot, którego nie powściągnie żadna krata więzienna. I od czasu tego wzlotu poczyna się nowy, tajemniczy wpływ autora „Salome" na dusze i na umysły ludzkie — wpływ nieobliczalny, któremu ani miejsca, ani czasu wyznaczyć nie można. Za życia dłonie swoje ku życiu jeno wyciągał, ono zaś w te dłonie złożyło — mękę i potępienie. A śmierć?... Jakąż nagrodę przyjął od niej ulubieniec życia?

Bolesław Leśmian.



King of liffe.

Moraliści współcześni, odczytując historję jego życia — kiwają głowami, jakby dziwne koleje losu „lorda Paradoxa" były jeszcze jednem stwierdzeniem nieomylności teorji moralnych. „Zbyt powierzchownie ujmował życie i twarda ręka Przeznaczenia strąciła go w otchłań szarej, bezlitosnej nędzy, aby poznał i to drugie oblicze istnienia, tragicznie wykrzywione w niewysłowionym bólu". Tak powiadają ci, dla których nieustające, dyonizyjskie ucztowanie Oskara Wilde'a, było grzesznem i bluźnierczem wyszydzaniem ustanowionych prawd i kupczeniem ducha na djabelskim rynku. I on — który, jak dziecko na obrazie Arnolda Böcklina — kwiaty przewonne rzucał na potok bytu, roześmianemi oczami genjusza śledząc drapieżną igraszkę spienionego nurtu — wydał im się u kresu życia ponurym grzesznikiem, w ciemnej, pokutnej opończy.

André Gide wierzy, że sprzęgły w nim się dwie odrębne kultury, że męczeński schyłek jego lat — był jeno kontrastowem uzupełnieniem olśniewającego tryumfu młodości. „Więzienie w Reading, to ogień, który oczyścił go z brudów żywota!" — woła Hugo von Hoffmanstahl.

„Oto jest człowiek — powiada większość jego biografów, — który zbłądził, ale, że winę swą latami więzienia i wszelakich udręczeń okupił, więc będzie mu przebaczone! Ale strzeżcie się jego błędów, aby bezmiar jego kary, nie stał się waszym udziałem!“

A przecież był radosny i czysty, jak helleński bóg i niczego więcej nie pragnął, jak tylko wiecznego święta na ziemi. Pił rozkosz z wszelkich, pucharów, ale również siał radość i szczęście wokoło. Kochał wolność i bajki; życie wyobrażał sobie, jako zaklęty gaj cudów, skąpany w blasku księżycowym, jako nieskończoną możliwość ziszczeń. Człowiek był dlań wszystkiem — gdyż mógł tworzyć co chciał, jeśli pragnął silnie. I Oskar Wilde rozbijał w proch stare komunały a biednym, uciśnionym myślom ludzkim przynosił wolność. Z niewysłowionym wdziękiem biegł przez lekki most, którym genjusz jego połączył Marzenie i Urzeczywistnienie, lotny jak dziecię elfów, upojony słodką muzyką powodzenia i sławy, z wieńcem róż na czole, o którem królowa Wiktorja powiedziała, że gdyby mogła coś otrzymać za swą koronę, błagałaby niebiosa o czoło Wilde'a. Miłość i uwielbienie ścieliły mu się do stóp, a on szedł ostrożnie, aby nie zdeptać kwiatów, które dla niego rozkwitły. I oto runął w przepaść. Byłby dośpiewał do końca swą pieśń dyonizyjską, ale brutalne wołania tłumu zmusiły go do umilknięcia.

. . . .

Ach, te straszliwe dni więzienia w Reading! Białemi, wypieszczonemi dłońmi, które niegdyś w bezsłownem uwielbieniu całowane były przez najpiękniejsze kobiety Anglji, szorował swą celę, jak zwykły galernik. W upalne letnie noce, słyszał płacze i jęki więźniów, którym śniły się popełnione przestępstwa i zbrodnie. Szarpał się, pewno, wówczas w niepewności, czy może istotnie zasłużył na swą karę. Wprawdzie napisał „De profundis“, w którem przyznawał się do zbrukanej przeszłości, ale, czyż spowiedź ta nie była samoudręką duszy, nieskalanej żadną winą, prócz namiętnego umiłowania życia? „King of liffe“ — król życia! Utracił królestwo swoje i sądzę, iż w owej chwili, gdy zamknęły się za nim wrota więzienne — utracił siebie.

Później, w Paryżu, gdzie powoli dogasał, nieraz, zapewne, wspominał złote czasy tryumfu. I kto wie, czy w swoim maleńkim hotelowym pokoiku, w którym dopalała się cenna, przedziwna lampa jego życia, nie złorzeczył mądrości pokory, jaką mu wsączała w mózg nieubłagana logika dna społecznego, usiana szarymi bezwonnymi kwiatami obowiązku. I może wołał w chwilach goryczy i zwątpienia: „O, życie, czemuś pogasiło słońca mych złud?! Wielbiłem siłę, co człowieka nad poziomy wynosi. Szukałem czarnoksięskich źródeł mocy i sztuczne światełka rojeń, w gwiazdy pragnąłem przemienić. I oto ręce moje zakuto w kajdany. O, życie — zły, przewrotny mistrzu — gardzę tem błotem, które nazywasz Prawdą!..“

J. Appenszlak.



OSKAR WILDE

Z NIEZEBRANYCH POEZJI.

Szczęśliw jest ten, kto ma swe niwy,
Kto ma wygody, zapas złota,
Kogo nie wzrusza mróz ni słota,
Ni trzask drzew leśnych hałaśliwy...

Szczęśliwy jest i ten, bez mała,
Kogo nie nękał głód złośliwy,
Czyj ojciec z troski nie był siwy,
Matka — samotna — łez nie lała.

Lecz — najszczęśliwszy — czyja droga
Szła po przez trudy, od powicia,
A on buduje z swego życia
Stopnie, by stanąć bliżej Boga.

KRÓLOWA HENRIETA MARJA.

(Dla Ellen Terry*)

Sama jedna w namiocie, czując tryumf bliski,
Jak lilja, kiedy wiotką, deszcz ulewny zmo-
[czy,
Stoi ona, a bólu mgłą zachodzą oczy.
I głośny szczęk oręża, krwawe nieba błyski,

Ani wojny straszliwej skutki i zniszczenie,
Nie wzbudzą obaw w sercu trwogą nieska-
[lanem,
Mężnie bez trwogi idzie za Królem i Panem,
A w duszy jej namiętne palą się płomienie.

O, usta karminowe! O, włosy! O, twarzy!
Pod waszym dziwnym czarem, serce bić po-
[czyna,
Myśl o was wszelką troskę zapomnieć mnie
[skłania:

I drogę bez miłości, co końca nie marzy,
I duszy przerażonej ogrom wyczerpania,
I wolność mą, i życie republikanina.

Przełożył: Zdzisław Witmir.

---

*) Artystka dramatyczna, słynna odtwórczyni ról szekspirowskich (Przyp. Tłum.).



OSKAR WILDE

Sfinks bez tajemnicy

SZKIC.

Pewnego popołudnia siedziałem w Café de la Paix, obserwując wspaniałość i nędzę życia paryskiego, podziwiając roztaczającą się przed mym wzrokiem panoramę dumy i ubóstwa, gdy wtem słyszę, że mię ktoś woła po imieniu. Odwracam się i widzę Lorda Murchinson. Nie spotkaliśmy się od czasów uniwersyteckich, mniej więcej z lat dziesięć; to też, ujrzawszy go, byłem zachwycony. Przywitaliśmy się serdecznym uściskiem dłoni. W Oksfordzie w wielkiej żyliśmy przyjaźni. Lubiłem go ogromnie; był taki piękny, taki szlachetny, do tak wzniosłych dążył ideałów. Twierdziliśmy, że byłby najlepszym z ludzi, gdyby nie to, że zawsze mówił prawdę; ale zdaje mi się, iż w samej rzeczy, tośmy go podziwiali jeszcze bardziej za tę szczerość.

Zauważyłem, że nadzwyczaj był zmieniony. Twarz jego wyrażała niepokój, zdziwienie i jakby zwątpienie o czemś.

Czułem, że to nie był sceptycyzm współczesny. Murchinson bowiem, z przekonania do stronnictwa należąc Torysów wierzył w Pięcioksiąg Mojżeszowy równie niewzruszenie jak w Izbę Lordów. Przyczyną zatem zmiany musiała być kobieta. Spytałem go, czy się już ożenił?

— Nie rozumiem kobiet dostatecznie, — odpowiedział.

— Drogi Geraldzie — rzekłem — kobiety chcą być kochane, a na tem, by mężczyźni je rozumieli, nie zależy im bynajmniej.

— Nie mogę kochać, jeżeli ufać nie mogę— odparł.

— Zdaje mi się, Geraldzie — rzekłem — że w życiu twem ukryta jest jakaś tajemnica. Podziel się nią ze mną.

— Pojedźmy za miasto — odparł. — Tu strasznie gwarno. O nie, — aby tylko nie żaden z tych żółtych powozów — weźmij ten ciemnozielony.

Kilka chwil później byliśmy usadowieni w powozie i jechaliśmy w kierunku bulwaru Madeleine.

— Dokąd mamy jechać? — spytałem.

— O, dokądkolwiek chcesz! — odpowiedział. Do pierwszej lepszej restauracji w Bois de Boulogne. Tam zjemy obiad i opowiesz mi wszystko o sobie. —

— Przedewszystkiem ty o sobie opowiesz — odrzekłem. — Wyjaw mi swą tajemnicę.

W odpowiedzi na me słowa wyjął z kieszeni i podał mi mały portfel skórzany ze srebrnem okuciem. Otworzywszy go, ujrzałem wewnątrz podobiznę kobiety. Była wysoka i szczupła, a duże oczy o wyrazie nieokreślonym i włosy rozpuszczone dziwnie malowniczy nadawały jej wygląd. Czyniła wrażenie jasnowidzącej, i w bogate była otulona futra.

— Co sądzisz o tej twarzy? — spytał Gerald. — Czy szczera?

Poddałem ją drobiazgowemu badaniu. Zdawało mi się, że to twarz osoby, ukrywającej tajemnicę, lecz czy tajemnica była dobra lub zła, tegobym orzec nie mógł. Piękność jej, mgłą owiana tajemniczości, była psychologiczną raczej pięknością niż plastyczną, — a słaby uśmiech igrający około ust, był zbyt subtelny, by słodkim nazwać go można.

— No więc — zawołał Gerald niecierpliwie — co powiadasz?

— To Gioconda — rzekłem — otulona w futra sobolowe. Powiedz mi wszystko o niej.

— Nie teraz, — rzekł, — po obiedzie.

I począł o inych mówić rzeczach.

Gdy garson przyniósł kawę i papierosy, przypomniałem Geraldowi obietnicę uczynioną poprzednio. Powstał z krzesła, przeszedł kilkakrotnie przez pokój, i zagłębiwszy się w fotelu, opowiedział mi historję następującą.

— Pewnego popołudnia, około godziny piątej, przechodziłem przez Bondstreet. Przed chwilą nastąpiło straszne zderzenie pojazdów, i ruch był prawie zatamowany. Tuż przy trotuarze stał mały, żółty powozik, i nie wiem z jakiej przyczyny, zwrócił uwagę moją na siebie. Gdym przechodził, wyjrzała z niego kobieta, której fotografję pokazałem ci dzisiaj. Oczarowała mię od pierwszej chwili. Całą noc i cały dzień następny o nikim i niczem innem myśleć nie mogłem. Przechadzałem się wciąż po tej nieszczęsnej ulicy, zaglądając do każdego wehikułu, i na żółty mój czekając powozik. Daremnie jednak. Nie odnalazłem pięknej nieznajomej, i ostatecznie począłem myśleć, że zjawienie się jej snem było tylko. Po upływie mniej więcej tygodnia byłem na obiedzie u pani de Rastail. Obiad był naznaczony na godzinę ósmą, a o wpół do dziewiątej czekaliśmy jeszcze wszyscy w salonie. Wreszcie służący otwiera drzwi i melduje: Lady Alroy. Była to kobieta, której poszukiwałem. Weszła krokiem bardzo powolnym. W szare ubrana koronki, wyglądała jak promień księżyca. Ku niewymownej radości mojej, miałem ją prowadzić do stołu. Podczas obiadu, zauważyłem, jak najniewinniej w świecie:

— Zdaje mi się, Lady Alroy, żem panią widział przed kilku dniami w Bond Street.

Zbladła ogromnie i rzekła głosem przyciszonym.

— Proszę nie mów pan tak głośno; mógłby ktoś usłyszeć.

Bardzom się zmartwił, że się znalazłem tak niefortunnie na samym wstępie, i natychmiast skierowałem rozmowę na przedstawienia teatru francuskiego. Lady Alroy mówiła bardzo mało i zawsze równie cichym, melodyjnie brzmiącym głosem. Zdawało się, że się obawia, by jej nie podsłuchiwano.

Zakochałem się w niej namiętnie, do szaleństwa prawie, a nieokreślona, owiewająca ją swem tchnieniem atmosfera tajemniczości wzbu-

działa moją ciekawość w stopniu najwyższym. Przy pożegnaniu, — wkrótce po obiedzie, — spytałem o pozwolenie odwiedzenia jej. Przez chwilę się zawahawszy, obejrzała się, czy nikt nie zwraca uwagi na nią i rzekła:

— Tak. Jutro o trzy kwadranse na piątą.

Prosiłem panią de Rastail by mi powiedziała cośkolwiek o niej. Usłyszałem jednak tylko, że Lady Alroy jest wdową i właścicielką pięknego domu w Park Lane. Gdy na domiar nudziarz jakiś uczony rozpoczął wykład o wdowach, i zamierzał dowieść, że w małżeństwie ta strona zazwyczaj dłużej pozostaje przy życiu, której stan małżeński bardziej sprzyja, pożegnałem towarzystwo i wróciłem do domu.

Nazajutrz z uderzeniem godziny umówionej stawiłem się u wrót pałacyku przy Park Lane. Odźwierny jednak zawiadomił mię, że Lady Alroy właśnie wyjechała. Nadzwyczaj zasmucony i z uczuciem przykrego zdziwienia udałem się do klubu. Po dłuższym namyśle napisałem do niej list, zapytując, czy pozwala, bym innym razem spróbował szczęścia? Przez kilka dni żadnej nie było odpowiedzi. Nareszcie otrzymałem bilecik z zawiadomieniem, że Lady Alroy będzie czekała na mnie w niedzielę, o godzinie czwartej po południu. Bilecik ten zawierał przypisek o treści, dużo dającej do myślenia.

— Upraszam pana o nieprzysyłanie mi listów do mojego domu. Objaśnień udzielę za najbliższem widzeniem się.—

W niedzielę przyjęła mnie i była wprost czarująca. Gdym odchodził, prosiła bym w razie konieczności piśmiennego zwrócenia się do niej, wysyłał listy pod adresem: „Mrs. Knox, Księgarnia Wittakera, Green Street“.

— Mam powody, — dodała, — dla których nie przyjmuję listów u siebie w domu.

Podczas tej zimy widywałem ją często, i zawsze owiewała ją ta sama mglista atmosfera tajemniczości. Czasami budziło się we mnie przypuszczenie, że Lady Alroy podlega władzy mężczyzny, ale wyglądała tak nieprzystępnie, że myśl ta, ledwie poczęta, wnet znów pierzchała daleko. W samej rzeczy, bardzo mi trudno było dojść do wniosków stanowczych, moja ukochana bowiem podobną była do owych, w muzeach widywanych kryształów, które naprzemian to są przezroczyste, to jakby gęstą powleczone chmurą. Wreszcie postanowiłem prosić o jej rękę. Zmęczyła mnie ciągła tajemniczość, której wymagała, zarówno dla odwiedzin, jak i nielicznych listów moich do niej. Wysłałem więc list do księgarni, z zapytaniem, czy Lady Alroy mogłaby mię przyjąć w następny poniedziałek, o godzinie szóstej przed wieczorem. Otrzymawszy odpowiedź przychylną, byłem w siódmem niebie. Kochałem ją bez pamięci: mimo tajemnicy, jakiem sądził wówczas, — skutkiem tajemnicy, jak widzę obecnie. Nie. Kochałem ją, jako jedyną kobietę, którą ukochać mogłem. Tajemnica otaczająca ją, niepokoiła mię, omal że nie doprowadziła do szaleństwa. Dlaczego przypadek wskazał mi drogę do odkrycia tajemnicy tej nieszczęsnej?

— Więc ją poznałeś? — zawołałem.

— Niestety! — odrzekł, — osądzisz zresztą sam.

— W poniedziałek ów, oczekiwany tak gorączkowo, byłem na śniadaniu u wuja mego, i około godziny czwartej po południu, znalazłem się na Marylebone Road. Wuj mój, jak ci wiadomo, mieszka w Regents Park. Chcąc się dostać do Piccadilly, obrałem krótszą drogę przez małe brudne uliczki. Nagle ujrzałem przd sobą Lady Alroy. Szła krokiem bardzo prędkim, a twarz jej pod gęstą była ukryta zasłoną. Dotarłszy do ostatniego domu na uliczce, wstąpiła na schodki, wiodące do drzwi, wyjęła z kieszeni klucz od zatrzasku i weszła. „Oto jej tajemnica“, rzekłem do siebie. Prędko podążyłem za nią i uważnie bardzo obejrzałem dom wspomniany. Zdawało się, że są w nim do wynajęcia pokoje umeblowane. Na stopniach leżała chusteczka, którą upuściła moja ubóstwiana. Podniosłem tę chusteczkę i schowałem ją do kieszeni. Następnie począłem się zastanawiać nad dalszem mojem postępowaniem. Po dłuższym namyśle doszedłem do przekonania, że nie miałem prawa jej śledzić i pojechałem do klubu. O szóstej byłem u niej.

Zastałem ją spoczywającą na kanapie, w sukni przetykanej srebrem i miejscami przybranej osobliwymi jakiemiś zelenitami, do których szczególną miała predylekcję. Wyglądała wprost uroczo.

— Takiem rada, żeś pan przyszedł, — cały dzień nie opuszczałam domu.

Patrzałem na nią w niemem osłupieniu. Po chwili, wyjąwszy z kieszeni własną jej chusteczkę:

— Lady Alroy, — rzekłem z wielkim spokojem, — pani upuściła to dziś po południu na Cumnor Street.

Utkwiła we mnie oczy pełne przerażenia, nie wyciągnęła jednak ręki po chusteczkę.

— Pocoś pani tam poszła? — spytałem.

— Jakiem prawem, — rzekła, — zadajesz mi pan to pytanie?

— Prawem człowieka, który cię kocha, — odpowiedziałem, — Przyszedłem dzisiaj, by cię prosić, byś żoną moją zostać chciała.

Na te słowa Lady Alroy twarz ukryła w dłonie, a z oczu jej strumień łez się polał rzęsistych.

— Musisz mi pani powiedzieć, — prosiłem.

Lady Alroy powstała z kanapy, i spokojnie z godnością wielką patrząc mi w oczy rzekła:

— Lordzie Murchinson, nie mam panu nic do powiedzenia.

— Poszłaś zobaczyć się z kimś, — krzyknąłem. — Oto tajemnica twoja.

Śmiertelnie zbladłszy odrzekła:

— Nie poszłam na spotkanie niczyje.

— Nie możesz pani powiedzieć prawdy? — zawołałem.

— Powiedziałam prawdę.

— Byłem szalony, byłem nieprzytomny Nie wiem, com jej mówił, ale wiem, że mówiłem rzeczy straszne. Wreszcie uciekłem.

Nazajutrz otrzymałem list od niej. Zwróciłem go, nie otworzywszy koperty, i wybrałem się z Alanem Colvillem w podróż do Norwegji. Po upływie miesiąca powróciłem do Londynu. Pierwszą rzeczą, którą ujrzałem w „Morning Post“ było zawiadomienie o śmierci Lady Alroy. Przeziębiła się w teatrze, dostała zapalenia płuc, i po pięciu dniach zakończyła życie.

Zamknąłem się w mieszkaniu swojem, nie chcąc widzieć nikogo. Kochałem ją tak gorąco! Kochałem ją tak szalenie! Boże! jakiem ja kochał tę kobietę!

— I poszedłeś na tę ulicę do domu tego? — spytałem.

— Tak, — odparł. — Pewnego dnia wybrałem się na Cumnor Street. Nie mogłem oprzeć się temu. Tortury niepewności były niemożliwe do zniesienia. Pukam do drzwi. Otwiera mi kobieta o wyglądzie nader przyzwoitym. Pytam czy w tym domu są pokoje do wynajęcia?

— Tak, — rzecze kobieta — to znaczy, dwa pokoje są właściwie wynajęte. Od trzech miesięcy jednak ta pani się nie pokazała, a że komorne nie zapłacone, mogę więc odstąpić panu to mieszkanie.

— Czy to ta pani? — spytałem, pokazując fotografję Lady Alroy.

— Zapewne, że to ona, — zawołała — a kiedy powróci?

— Ta pani umarła, — odrzekłem.

— O panie! — zawołała kobieta, — jak mi żal! To najlepsza była moja lokatorka. Płaciła mi trzy gwinee tygodniowo, tylko żeby od czasu do czasu przebywać parę godzin w tych pokojach.

— Schodziła się tu z przyjaciółmi? — zapytałem.

Lecz kobieta stanowczo temu przeczyła, twierdząc, że lokatorka jej zawsze była sama jedna i nie widywała nikogo.

— Więc po cóż właściwie przychodziła tutaj? — zawołałem.

— Siedziała sobie w saloniku, czytywała książki, a czasem kazała sobie podać herbaty, — odrzekła kobieta.

Nie mogłem na dalszą się zdobyć rozmowę. Wręczyłem kobiecie suwerena i oddaliłem się. — Wytłumacz mi teraz, proszę, co to wszystko miało znaczyć? Ty nie wierzysz, że kobieta mówiła prawdę?

— Wierzę.

— Więc po co Lady Alroy chodziła do tego domu?

— Kochany Geraldzie, — odrzekłem, — Lady Alroy była poprostu osobą, opanowaną przez manję tajemniczości. Wynajęła te pokoje by mieć przyjemność udawania się tam pod gęstą zasłoną, i w wyobraźni swej uchodzić za bohaterkę. Miała namiętność dla wszystkiego, co tchnęło tajemniczością, sama zaś była sfinksem — bez tajemnicy.

— Czy w samej rzeczy tak sądzisz?

— Jestem przekonany o tem.

Gerald wyjął z kieszeni portfel skórzany i długo spoglądał na fotografję.

— Kto wie? — rzekł wreszcie.

OSKAR WILDE

Poematy prozą.

I.

ARTYSTA.

Pewnego wieczoru w duszy jego rozbudziła się myśl stworzenia posągu, przedstawiającego: „Rozkosz, trwająca chwilę“. I poszedł w świat, poszukiwać bronzu. Tylko bowiem w bronzie umiał wyrazić swe myśli.

Nigdzie jednak bronzu znaleźć nie mógł. W całym świecie nie było bronzu, prócz jednego, jedynego posągu; wyrażającego: „Żal trwający wieczyście“.

A ten posąg to on sam stworzył. Własnemi go wyrzeźbił rękoma, i postawił na mogile rzeczy, którą najwięcej ukochał w życiu. Na mogile rzeczy, miłością objętej najgorętszą, postawił nagrobek, własnemi wykonany dłońmi. Posąg ten służyć miał za znak widoczny miłości nieśmiertelnej człowieka, i za symbol żalu nieśmiertelnego. I w całym świecie nie było innego bronzu, prócz bronzu owego właśnie posągu.

I wziął tworzywo rąk swoich, i włożył do dużego kotła i kocioł postawił na ogień płonący.

I bronz, z którego on stworzył ongi: „Żal, trwający wieczyście“, w dłoniach artysty przemienił się obecnie w: „Rozkosz, trwająca chwilę“.

II.

UCZEŃ.

Gdy Narcyz umarł, woda jeziora, stanowiącego źródło jego radości, dotychczas słodka, stała się słona, gdyż była teraz zbiornikiem łez tylko. I Oready, płacząc, podążały przez las, do jeziora, by smutek jego cudnym swym ukoić śpiewem.

A widząc, że zbiornik wody słodkiej przemienił się w zbiornik wody słonej, — w wodę — łzy, — rozpłotły zielone warkocze swych włosów i rzekły do jeziora:

— Zaiste, nie dziwimy się, że tak ubolewasz nad zgonem Narcyza. On taki był piękny!

— Czy naprawdę piękny był Narcyz? — spytało jezioro.

— I któż powinien wiedzieć o tem, jeżeli nie ty? — odrzekły Oready, — nas on mijał tylko, do ciebie zaś przychodził, spoczywał nad brzegiem twym, przyglądał się tobie i w zwierciadle fal twych przejrzystych własną podziwiał piękność.

A jezioro odrzekło:

— Ale ja kochałem Narcyza, dla tego, że spoczywał nad wybrzeżem mojem i spoglądał na mnie. W przejrzystych jak zwierciadło oczach jego, własną swoją podziwiałem piękność.

III.

MISTRZ.

A gdy ciemność spłynęła na ziemię, Józef z Arimathei, zapaliwszy pochodnię z drzewa sosnowego, zeszedł z gór do doliny. Musiał bowiem zajrzeć do swego domu.

A w Dolinie Niepocieszenia zoczył młodzieńca, klęczącego na kamieniach. Młodzieniec zupełnie był nagi, i gorzko płakał. Włos jego miał barwę miodu, a ciało białemu równało się kwiatu. Lecz on ciało swe poranił cierniami, a włosy posypał popiołem w kształcie wieńca.

Widząc tę rozpacz, Józef, który bardzo był bogaty, rzekł do młodzieńca, który był nagi i gorzkie przelewał łzy:

— Nie dziwię się głębi smutku twego, albowiem sprawiedliwy On był, istotnie.

A młodzieniec na to:

— Nie nad Nim ja płaczę, lecz nad sobą. I jam wodę przemienił w wino, i jam uleczył trędowatych i niewidomym powróciłem wzrok. Suchą nogą po falach chodziłem morza, i z tych co spoczywają w grobie, złych wypędziłem duchów. Karmiłem głodnych w pustyni, gdzie nie było pożywienia, wskrzesiłem umarłych z ciasnych ich domostw, i na mój rozkaz, wobec tłumu zebranego zwiędło nieurodzajne drzewo figowe. Wszystkich cudów, których dokonał ów Mąż, dokonałem i ja. A jednak nie ukrzyżowano mnie...



OSKAR WILDE.

Duch z Canterville.

Romans hylo-idealistyczny.

(Z angielskiego).

I.

Gdy Mr. Hiram B. Otis, poseł amerykański, kupował zamek Canterville, mówiono powszechnie, że robi głupstwo, ponieważ zamek niewątpliwie był nawiedzany przez duchy. I nawet sam lord Canterville, który był człowiekiem niezwykle sumiennym, uważał za swój obowiązek zaznaczyć ten fakt przy omawianiu z Mr. Otis warunków.

— My sami nie mieszkaliśmy tutaj — powiedział lord Canterville, — odkąd moja babka, księżna-matka Bolton, dostała z przerażenia konwulsji, gdy ubierała się do obiadu, a dwie szkielece ręce dotknęły się jej ramion i odtąd już nigdy nie powróciła do zdrowia. Muszę powiedzieć panu, Mr. Otis, że ducha widziało kilku dotąd żyjących członków mojej rodziny oraz proboszcz parafjalny, wielebny August Dampier, doktór królewskiego kolegjum w Cambridge. Po nieszczęśliwym wypadku, który spotkał księżnę, żaden z naszych młodszych służących nie chciał dłużej zostać u nas, zaś lady Canterville często nie mogła sypiać w nocy, gdyż przeszkadzały jej tajemnicze hałasy w korytarzu i w bibljotece.

— Milordzie, — odpowiedział poseł, — chcę nabyć ducha wraz z całkowitem umeblowaniem. Pochodzę z kraju nowoczesnego, w którym jest wszystko, cokolwiek się da kupić za pieniądze i sądzę, wraz z naszymi chwackimi chłopakami, którzy zabierają wam najlepsze aktorki i primadonny, że gdyby istniał jakiś duch, to w najkrótszym czasie mielibyśmy go w muzeum publicznem lub na jarmarku.

— Obawiam się, że duch naprawdę istnieje, — rzekł lord Canterville z uśmiechem, — jakkolwiek dotąd oparł się propozycjom waszych przedsiębiorczych impresarjów. Jest on dobrze znany od trzech stuleci, ściślej mówiąc od roku 1584 i ukazuje się zawsze przed śmiercią jednego z członków naszej rodziny.

— No, lordzie Canterville, to samo robi w tym wypadku doktór domowy. Lecz wszakże duchów niema i sądzę, że prawa natury nie dadzą się zawiesić gwoli arystokracji brytańskiej.

— Panowie zapewne biorą to w Ameryce nader przyrodoznawczo, — odparł lord Canterville, który niezupełnie zrozumiał ostatnią uwagę mr. Otis, — więc jeżeli duch nie zawadza panu w domu, wszystko jest w porządku. Proszę tylko pamiętać, że ostrzegałem pana.

W parę tygodni potem akt kupna został zawarty i przed końcem sezonu poseł ze swą rodziną udał się do zamku Canterville. Mrs. Otis, która jako miss Lukrecja R. Tappau z W. 53-ej ulicy, słynęła jako piękność nowojorska, była teraz bardzo ładną kobietą w średnim wieku, o pięknych oczach i wspaniałym profilu. Wiele amerykanek, opuściwszy swą ojczyznę, nabiera pozorów słabowitości, gdyż uważa to za objaw wyrafinowania europejskiego, lecz mrs. Otis nigdy nie popełniła tego błędu. Miała doskonały organizm i zaiste cudowny zasób sił żywotnych. Rzeczywiście, pod wielu względami była prawie angielką i mogłaby służyć za przykład, że dziś jesteśmy we wszystkiem podobni do Ameryki, naturalnie, z wyjątkiem języka. Jej syn najstarszy, nazwany na chrzcie przez swych rodziców w napadzie patrjotyzmu Waszyngtonem, nad czem ubolewał przez całe życie, był przystojnym blondynem, który swych kwalifikacji dyplomatycznych dowodził w ciągu trzech miesięcy w kasynie Newport, w roli wodzireja i nawet w Londynie znany był, jako doskonały tancerz. Gardenie i parowstwo były jego jedynemi słabostkami. Pod innemi względami był nadzwyczaj rozsądny. Miss Wirginia E. Otis była piętnastoletnią dziewczynką, gibką i wdzięczną, jak sarna, o wielkich niebieskich oczach, pełnych stanowczości i energji. Była świetną amazonką i pewnego razu

urządziła ze starym lordem Bilton wyścigi dokoła parku, wyprzedzając go o półtorej długości konia w obliczu posągu Achillesa, ku ogromnemu zachwytowi młodego księcia Cheshire, który natychmiast oświadczył się o jej rękę i tegoż wieczora został wśród potoków łez odesłany przez swych opiekunów z powrotem do Eton. Po Wirginji następowało dwoje bliźniąt, zwanych zazwyczaj „plamisto-prążkowemi“, z powodu często odbieranej chłosty. Byli to rozkoszni chłopcy i, z wyjątkiem czcigodnego posła, jedyni prawdziwi republikanie w rodzinie.

Ponieważ zamek Canterville znajduje się w odległości siedmiu mil od Ascot, najbliższej stacji kolejowej, mr. Otis zadepeszował, by przysłano powóz na ich spotkanie i wyruszono ze stacji w najlepszym humorze. Był to przyjemny wieczór lipcowy i w powietrzu czuć było aromat lasów sosnowych. Niekiedy słychać było słodki głos gołębia leśnego lub widać lśniącą pierś bażanta wśród szeleszczących paproci. Małe wiewiórki przypatrywały się z buków przejeżdżającym, a króliki uciekały przez chrósty i kępki mchu, zadarłszy białe ogonki. Gdy wjeżdżali w aleje zamku Canterville, niebo nagle okryło się chmurami, dziwna cisza zaciężyła w powietrzu, wielka chmara kruków przeleciała bezdźwięcznie nad ich głowami i zanim dotarli do domu, spadło kilka dużych kropel deszczowych.

Na schodach spotkała ich stara kobieta, schludnie ubrana w czarny jedwab, w białym czepeczku i fartuszku. Była to gospodyni mrs. Umney, którą Mrs. Otis, na gorące prośby lady Canterville, zatrzymała na poprzedniem jej stanowisku. Przywitała ona każdego z nich nizkim dygiem, gdy wysiadali z powozu i powiedziała ze staroświecką elegancją:

— Pozdrawiam was na zamku Canterville.

Udali się za nią przez piękną salę w stylu Tudorów do bibljoteki, długiej, nizkiej komnaty, o futrowaniach z czarnego dębu i wielkiem kolorowem oknie. Tu znaleźli naszykowaną dla siebie herbatę i zdjąwszy okrycia, zasiedli do stołu i zaczęli się rozglądać, podczas gdy Mrs. Umney im usługiwała.

Nagle Mrs. Otis spostrzegła dużą czerwoną plamę na podłodze, tuż koło kominka i nie mając pojęcia o istotnem jej znaczeniu, rzekła do Mrs. Umney:

— Jak widzę, rozlano tu coś na podłogę?

— Tak, proszę pani, — cicho odparła stara gospodyni, — na tem miejscu została przelana krew.

— Co za okropność,— zawołała Mrs. Otis,— nie lubię krwawych plam w pokoju mieszkalnym. To musi być natychmiast usunięte.

Stara kobieta uśmiechnęła się i odpowiedziała tym samym cichym, tajemniczym głosem:

— Jest to krew lady Eleonory Canterville, która została zamordowana na tem miejscu przez swego własnego męża, sir Simona Canterville w r. 1575. Sir Simon żył po niej jeszcze dziewięć lat i znikł nagle wśród okoliczności nader tajemniczych. Ciała jego nie zdołano nigdy odszukać, lecz jego grzeszna dusza dotąd jest w zamku. Krwawa plama była wielokrotnie podziwiana przez turystów i inne osoby i nie daje się usunąć.

— Toż to nonsens,—zawołał Waszyngton,— środki do wywabiania plam Pinkerton Champion i Paragau wyczyszczą to w mgnieniu oka, — i zanim struchlała gospodyni zdążyła go powstrzymać, przykląkł i zaczął szybko szorować podłogę małą laseczką, podobną do jakiegoś kosmetyku. Za chwilę krwawa plama znikła bez śladu.

— Wiedziałem, że Pinkerton temu zaradzi,— ozwał się tryumfalnie, spoglądając po swej rodzinie, pełnej podziwu dla niego; lecz zaledwie wyrzekł te słowa, przeraźliwa błyskawica oświetliła ponury pokój, okropny grzmot kazał wszystkim zerwać się na nogi, zaś Mrs. Umney zemdlała.

— Co za potworny klimat, — powiedział spokojnie poseł amerykański, zapalając długi papieros, — sądzę, że ten stary kraj jest tak przeludniony, że nie wystarcza porządnej pogody dla każdego mieszkańca. Zawsze byłem tego zdania, że emigracja jest jedyną rzeczą dla Anglji.

— Drogi Hiramie, — zawołała Mrs. Otis, — co robić z kobietą, która mdleje?

— Potrąć jej za to, jak za rzecz stłuczoną,— odpowiedział poseł, — nie będzie więcej mdlała. I po paru minutach Mrs. Umney rzeczywiście odzyskała przytomność. Lecz bezwątpienia, była ogromnie wzruszona i ostrzegała surowo Mr. Otis, że domowi jego grozi nieszczęście.

— Widziałam na własne oczy takie rzeczy, proszę pana, — mówiła, — że od nich niejednemu chrześcjaninowi powstawały włosy na głowie i przez niejedną noc nie mogłam zmrużyć oka, takie okropności tu się działy. Jednakże Mr. Otis i jego żona upewnili poczciwinę, że nie lękają się duchów i ta, przywoławszy na głowy nowych państwa błogosławieństwo Opatrzności— i poprosiwszy o podwyżkę pensji, podreptała do swego pokoju.

II.

Burza szalała przez całą noc, lecz nie zaszło nic szczególnego. Atoli nazajutrz rano, gdy zeszli się na śniadanie, okropna krwawa plama znów była na podłodze.

— Nie sądzę, aby to była wina wywabiacza Paragau, — powiedział Waszyngton, — gdyż wypróbowałem go już wielokrotnie. Musi to być duch.

Starł więc plamę powtórnie, lecz nazajutrz ukazała się znowu. Na trzecie rano była tam znowu, chociaż bibjoteka została zamknięta na klucz przez samego Mr. Otis, a klucz zabrany na górę. Teraz zaciekawiła się cała rodzina. Mr. Otis zaczął podejrzewać, że był zbyt dogmatyczny, zaprzeczając istnieniu duchów. Mrs. Otis objawiła zamiar wstąpienia do Towarzystwa

Psychologicznego, zaś Waszyngton wystosował długi list do P. p. Myers i Podmore w kwestji niezniszczalności krwawych plam w związku ze zbrodnią. Następnej nocy wszelkie wątpliwości co do istnienia upiorów zostały usunięte na zawsze.

Dzień był gorący i słoneczny; o wieczornym chłodzie rodzina pojechała na spacer. Powrócono do domu przed dziewiątą, poczem spożyto lekką wieczerzę. Rozmowa nie obracała się koło duchów, tak że nie było tych najkonieczniejszych warunków—napięcia oczekiwania i wrażliwości—które tak często poprzedzają ukazanie się duchów. Temat rozmowy nie różnił się w niczem od zwykłych tematów, obrabianych przez kulturalnych amerykanów z lepszego towarzystwa, jak naprzykład—nieskończona wyższość Miss Fanny Davenport, jako aktorki, nad Sarą Bernhardt; trudność znalezienia zielonego ziarna i ciastek z gryczanej mąki nawet w najlepszych domach angielskich; znaczenie Bostonu dla rozwoju duszy kosmicznej, dogodność systemu bagażowego w podróżach koleją; miękkość nowojorskiego akcentu w porównaniu z przeciąganiem londyńskiem. Nie było wzmianki ani o czemś nadprzyrodzonem, ani o sir Simonie de Canterville. O jedenastej rodzina udała się na spoczynek i w jakieś pół godziny zgaszono wszystkie światła. Po niejakim czasie Mr. Otis został obudzony przez jakiś dziwny hałas w korytarzu, za jego drzwiami. Był to jakby brzęk metalu, który zbliżał się coraz to bardziej. Wstał natychmiast, zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek. Była punkt pierwsza. Był zupełnie spokojny i dotknął swego pulsu, który nie zdradzał bynajmniej gorączki. Osobliwy hałas nie ustawał i wraz z nim Mr. Otis usłyszał wyraźnie odgłos kroków. Włożył pantofle, wziął z toalety podłużną flaszeczkę i otworzył drzwi. Zobaczył przed sobą w bladem świetle księżyca starego człowieka o przerażającym wyglądzie. Oczy jego były jak czerwone rozżarzone węgle; długi włos siwy opadał mu w nieładzie na ramiona; miał na sobie ubranie staroświeckiego kroju, całe podarte i poplamione, zaś na rękach i nogach dźwigał ciężkie, rdzawe kajdany.

— Drogi panie, — rzekł Mr. Otis, — upraszam pana o posmarowanie tych łańcuchów i w tym celu przyniosłem panu flaszeczkę Tammany Rising Sun Lubricator. Podobno wystarcza jednorazowe posmarowanie i na opakowaniu znajdzie pan kilka poświadczeń w tej mierze naszych najwybitniejszych uczonych krajowych. Zostawiam ją tu dla pana, obok świec i z przyjemnością, w razie potrzeby, służę większą ilością.

Mówiąc to, poseł Stanów Zjednoczonych postawił flaszeczkę na marmurowym stoliku i zamykając drzwi, udał się na spoczynek.

Przez chwilę duch Canterville'u stał skamieniały z oburzenia, następnie cisnął gwałtownie flaszeczkę na froterowaną podłogę i uciek przez korytarz, wydając głuche jęki i emanując ze siebie widmowo-zielone światło. Lecz w chwil gdy dotarł do wielkich dębowych schodów, drzw się otwarły, ukazały się dwie małe postacie w bieli i duża poduszka przeleciała koło jego głowy! Oczywiście, nie było czasu do stracenia, więc uciekając do Czwartego Wymiaru, znikł przez futrowania ścian i dom zaległa zupełna cisza.

Dotarłszy do małego ukrytego pokoiku w lewem skrzydle, oparł się o promień księżyca, by złapać oddech i zaczął rozważać swoją sytuację. Nigdy jeszcze podczas całego trzechsetletniego, świetnego i nieprzerwanego zawodu nie został tak brutalnie znieważony. Myślał o księżnie-matce, ktorej napędził konwulsji strachu, gdy stała przed lustrem w swych brylantach i koronkach; o czterech pokojówkach, które dostały spazmów, gdy w śmiechu wyszczerzył do nich zęby przez firanki jednej z niezamieszkałych sypialni, o proboszczu parafji, któremu zdmuchnął świecę, gdy ten pewnego razu późno w nocy powracał z bibljoteki i który odtąd został na stałe pacjentem sir Wiliama Gull, będąc prawdziwym męczennikiem z powodu rozstroju nerwowego; o starej pani de Tremonillac, która obudziwszy się pewnego dnia wczesnem ranem i widząc szkielet siedzący w fotelu przy kominku i czytający jej dziennik, dostała zapalenia mózgu i przez sześć tygodni leżała w łóżku, a po wyzdrowieniu pojednała się z kościołem i przerwała wszelkie stosunki z tym notorycznym sceptykiem, panem de Voltaire. Przypomniał sobie okropną noc, gdy występnego lorda Canterville znaleziono nawpół uduszonego w jego gotowalni z djamentowym waletem w gardle i gdy tenże wyznał, że oszukał za pomocą tej karty Charles'a James Fox'a u Crockford'a na 50,000 funtów sterlingów i przysiągł, że duch kazał mu ją połknąć.

Uprzytomnił sobie wszystkie swe wielkie czyny, od piwniczego, który zastrzelił się w kredensie, ponieważ zobaczył zieloną dłoń, pukającą w szybę, do pięknej lady Stutfield, która była zmuszona nosić zawsze czarną aksamitną wstążkę na szyi, by zakryć ślady pięciu palców, wypalone na białej jej skórze i która w końcu utopiła się w stawie dla karpi przy Królewskiej Promenadzie. Z entuzjastycznym egotyzmem prawdziwego artysty ogarniał pamięcią najsławniejsze swe kreacje i uśmiechał się gorzko, przywołując przed oczy ostatnie swe zjawy, jako „Czerwony Ruben lub zaduszone dziecko“, swój debiut jako „Chudy Gibeon, wampir z Betley Moor“ i sensację którą wywołał pewnego pięknego lipcowego wieczora ni mniej, ni więcej, jak grając w kręgle własnemi swemi kośćmi na tennisowym placu.

I potem wszystkiem przychodzą jacyś nędzni amerykanie współcześni i ofiarowywują mu Rising Sun Lubricator i rzucają mu poduszkami w głowę. Było to całkiem nie do zniesienia. Prócz tego, żaden duch w dziejach świata nie został nigdy potraktowany w ten sposób. Wobec tego postanowił się zemścić i do białego dnia pozostał w głębokiej zadumie.

III.

Nazajutrz rano, gdy rodzina Otis zeszła się przy śniadaniu, dużo rozprawiano o duchu. Poseł Stanów Zjednoczonych był naturalnie trochę tem zaniepokojony, że prezent jego nie został przyjęty. Nie chciałem wyrządzić duchowi żadnej zniewagi osobistej, — mówił, — i muszę zaznaczyć, żo wobec jego długotrwałego pobytu w tym domu, niegrzecznie jest rzucać mu poduszkami w głowę — nader słuszna uwaga, na którą bliźnięta, z przykrością muszę to wyznać, wybuchnęły głośnym śmiechem. Z drugiej strony, — ciągnął poseł — o ile duch naprawdę nie zgodzi się używać Rising sun Lubricator'a, będziemy musieli zdjąć mu łańcuchy. Nie sposób będzie spać z takim hałasem koło sypialni.

Przez resztę tygodnia spokój nie został zamącony i tylko ciągłe wznawianie się krwawej plamy na podłodze biblioteki zwracalo na siebie uwagę. Było to tem dziwniejsze, że drzwi były zawsze szczelnie zamykane na noc przez Mr. Otis, a okna zaryglowywane. Kameleonowa barwa plamy wywołała również wiele k omentarzy. Czasami bywała rano blado-czerwona, potem koloru świetnej purpury, pewnego zaś razu, gdy rodzina zebrała się na modlitwę podług prostego rytuału Wolnego Amerykańskiego Reformowanego Episkopalnego Kościoła, stwierdzono, że jest jasno-szmaragdowego koloru. Naturalnie, te zmiany kalejdoskopowe bawiły towarzystwo i co wieczór zakładano się o nie. Jedyną osobą, która nie brała udziału w żartach, była mała Wirginja, która z niezrozumiałych powodów smuciła się zawsze na widok krwawej plamy i omal się nie rozpłakała tego ranka, gdy plama była szmaragdowa. Duch ukazał się powtórnie w niedzielę w nocy. Wkrótce po udaniu się na spoczynek, wszyscy zostali zaalarmowani przez przeraźliwy łoskot w sali. Zbiegłszy na dół, zobaczono, że stara zbroja spadła ze swego postumentu na kamienną podłogę, zaś duch Canterville'u siedział w wysokim fotelu i tarł kolana z wyrazem ostrego bólu na twarzy. Bliźnięta, które przyniosły ze sobą fuzyjki, poczęstowały go dwoma nabojami grochu z celnością, jakej można nabyć tylko przez długie i staranne ćwiczenie się na nauczycielu kaligrafji, tymczasem poseł Stanów Zjednoczonych wziął go na cel z rewolweru i krzyknął zwyczajem kalifornijskim: „Ręce do góry!“ Duch zerwał się z okrzykiem wściekłości i przeleciał wśród nich, jak obłok, gasząc w przejściu świecę Waszyngtona i pozostawiając wszystkich w głębokiej ciemności. Lecz na schodach duch opamiętał się i postanowił wybuchnąć swym słynnym demonicznym śmiechem. W niejednym wypadku było to nadzwyczaj skuteczne. Dzięki temu śmiechowi w jedną noc osiwiała peruka Lorda Ruker, zaś trzy francuskie guwernantki lady Canterville odeszły przed końcem miesiąca. Zaśmiał się więc najokropniejszym swym śmiechem, aż wstrząsnął się stary sklepiony dach. Lecz zaledwie umilkło echo okropne, gdy drzwi się otwarły i weszła Mrs. Otis w jasno-niebieskim szlafroku.

— Zdaje mi się, że pan źle się czuje, — powiedziała—przyniosłam więc panu flaszeczkę kropli dr. Dobell'a. Jeżeli chory pan na niestrawność, jest to najlepszy środek.—Duch spojrzał na nią z wściekłością i zaczął się przygotowywać do zamienienia się w wielkiego czarnego psa; sztuka ta zjednała mu sławę i jej to doktór domowy przypisywał stałe ogłupienie wuja lorda Cantervillle, sir Thomas'a Horton. Lecz odgłos zbliżających się kroków zachwiał go w tym okrutnym zamiarze. Poprzestał więc na słabej fosforescencji i znikł z głębokim jękiem cmentarnym w chwili, gdy bliźnięta podchodziły do niego.

Wróciwszy do swego pokoju, poczuł się zupełnie złamanym i poddał się gwałtownemu wzburzeniu. Pospolitość bliźniąt i brutalny materjalizm Mrs. Otis były naturalnie nadzwyczaj przykre, lecz najbardziej zasmuciło go to, że nie mógł już udźwignąć na sobie zbroi. Spodziewał się, że widok ducha w zbroi wstrząśnie nawet Amerykanami współczesnymi, jeżeli nie z rozsądniejszych powodów, to przynajmniej przez szacunek dla ich narodowego poety Longfellow, nad którego wdzięcznemi i powolnemi poezjami sam spędził niejedną godzinę, gdy Canterville'owie bawili w mieście. Pozatem, była to jego własna zbroja. Występował w niej z wielkiem powodzeniem na turnieju w Renilwarth i usłyszał wtedy komplement z ust samej młodej królowej. Włożywszy ją teraz, został przygnieciony ciężarem pancerza i hełmu i runął na kamienną podłogę, mocno tłukąc sobie kolana i prawą rękę.

W ciągu kilku dni był zupełnie chory i wychodził z pokoju tylko po to, by utrzymywać krwawą plamę w należytym stanie. Zastrzegając się bardzo, poprawił się jednak i postanowił uczynić trzecią próbę nastraszenia posła Stanów Zjednoczonych i jego rodziny. Wybrał piątek, dnia 17 sierpnia na swój występ i cały dzień spędził na przeglądaniu swej garderoby. W końcu zdecydował się na szeroki kapelusz z czerwonem piórem, na powiewne prześcieradło z kryzami dokoła szyi i rąk i rdzawy sztylet. Nad wieczorem zaczęła się straszna ulewa, a wicher gwałtowny wstrząsał i szarpał oknami i drzwiami starego domu. Taką właśnie lubił pogodę. Plan działania miał następujący. Miał cicho wejść do pokoju Waszyngtona Otis'a, stanąwszy nad łóżkiem, ozwać się do niego niezrozumiałemi słowy i trzykrotnie przeszyć sobie gardło sztyletem przy dźwiękach cichej muzyki. Miał do Waszyngtona szczególniejszą urazę, wiedząc, że on to miał zwyczaj ścierać krwawą plamę wywabiaczem Pinkerton Paragon. Wywoławszy w tym lekkomyślnym i zuchwałym młodzieńcu nikczemne przerażenie, miał przejść do pokoju zajmowanego przez posła Stanów Zjednoczonych i jego żonę i tam położyć lepką dłoń na czoło Mrs. Otis, szepcząc jednocześnie do ucha jej drżącego małżonka straszliwe tajemnice grobu. Co do małej Wirginji nie mógł powziąć ostatecznego postanowienia. Nie znieważyła go nigdy w żaden sposób i była uprzejma i miła. Wystarczy parę głuchych jęków z szafy, myślał, gdyby zaś to jej nie rozbudziło, mógłby prze-

biec po kołdrze drżącymi palcami. Co do bliźniąt, postanowił dać im dobrą nauczkę. Nasamprzód, naturalnie, trzeba siąść im na piersi, by wywołać wrażenie dławiącej zmory. Potem, ponieważ łóżka ich znajdowały się jedno tuż przy drugiem stanąć między nimi w postaci zielonego ciała zimnego, jak lód, aż zdrętwieją ze strachu, i nakoniec zrzucić prześcieradło i przepełznąć dokoła pokoju, świecąc białemi kośćmi i jednem obracającem się okiem w charakterze „Niemego Daniela albo szkieletu samobójcy“ — rola, której efekt niezwykły stwierdził już nieraz i którą stawiał prawie na równi ze słynnym „Marcinem Maniakiem lub Tajemnicą Zamaskowaną“.

O wpół do jedenastej usłyszał jak rodzina układała się do snu. Przez pewien czas przeszkadzały mu dzikie wybuchy śmiechu bliźniąt, które z lekkomyślną wesołością uczniaków dokazywały przed zaśnięciem, lecz w kwadrans po jedenastej wszystko ucichło i za uderzeniem północy, duch się zjawił. Sowa uderzała skrzydłami o szyby, kruk krakał na starym cisie, a wiatr z jękiem błąkał się dokoła domu, jak dusza straceńca; lecz rodzina Otis spała nieświadoma swych losów i ponad deszczem i burzą górowało równe chrapanie posła Stanów Zjednoczonych. Duch wystąpił ukradkiem ze ściany ze złowrogim uśmiechem na swych okrutnych, pomarszczonych ustach i księżyc ukrył twarz w chmurze, gdy duch przemykał się koło wielkiego okna, na którem były wymalowane w lazurze i złocie herby jego i jego zamordowanej małżonki. Prześlizgiwał się dalej i dalej—jak zły cień, nawet mrok zdawał się nim brzydzić, gdy przechodził. Nagle wydało mu się, że słyszy jakieś wołanie i zatrzymał się. Lecz było to tylko szczekanie psa z Czerwonego Folwarku, więc pomknął dalej, mrucząc dziwne klątwy z szesnastego wieku i od czasu do czasu potrząsając w północnem powietrzu rdzawym sztyletem. Nakoniec doszedł do zakrętu korytarza, prowadzącego do pokoju nieszczęsnego Waszyngtona. Zatrzymał się tu na na chwilę, podczas gdy wiatr rozwiewał dokoła jego głowy długie, siwe pukle i skręcał w dziwaczne i fantastyczne fałdy bezimienną zgrozę całunu umarłego człowieka. Wtedy zegar wydzwonił kwadrans i duch poczuł, że nadeszła chwila. Zachichotał do siebie i wyszedł z za węgła. Lecz zaledwie to uczynił, gdy z żałosnym okrzykiem przestrachu upadł w tył, kryjąc twarz pobladłą w długich, kościstych dłoniach. Przed nim stało okropne widmo nieruchome jak posąg i potworne, jak sen szaleńca! Głowa jego była łysa i błyszcząca; twarz okrągła, tłusta i biała, ohydny uśmiech, zda się, na wieki wykrzywił jego twarz. Z oczu wychodziły promienie szkarłatnego światła, usta były podobne do pieczary ognistej, a okropne ubranie takie same, jak jego, kryło w zwojach śnieżystych kształty tytana. Na piersi miało plakat z dziwnym napisem starożytnemi literami, wyznanie jakichś zbrodni, spis grzechów okropnych, w prawej zaś dłoni dzierżyło błyszczącą, stalową szablę.

Ponieważ duch jeszcze nigdy w swem życiu nie widział upiora, przeraził się przeto okropnie i spojrzawszy raz jeszcze przelotnie na straszliwe widmo, uciekł do swego pokoju; gdy biegł przez korytarz, nogi plątały mu się w długiem prześcieradle i nakoniec upuścił swój rdzawy sztylet do buta posła, gdzie nazajutrz znalazł go służący. Wpadłszy do swego pokoju, rzucił się na wązkie łóżko polowe i schował twarz w kołdrach.

Po pewnym czasie ozwało się w nim jednak męstwo Cantervill'ów i postanowił pójść pomówić z drugim duchem, jak tylko się rozwidni. Gdy brzask osrebrzył pagórki, powrócił na miejsce, gdzie oczy jego po raz pierwszy ujrzały potworne zjawisko, czując ostatecznie, że lepsze dwa duchy, niż jeden i że przy pomocy nowego przyjaciela mógłby skutecznie zaatakować bliźnięta. Gdy przyszedł na miejsce, straszliwy widok ukazał się jego oczom. Widocznie coś stało się z widmem, gdyż światło znikło z jego pustych oczodołów, błyszcząca szabla wypadła z jego dłoni, samo zaś opierało się o ścianę w wymuszonej i niewygodnej postawie. Poskoczył naprzód i porwał je w swe ramiona, gdy nagle, ku jego przerażeniu, głowa ześlizgnęła się i potoczyła na podłogę, ciało opadło i duch znalazł w swych objęciach białą firankę na szczotce od zamiatania wraz z nożem kuchennym, zaś pod nogami jego leżała pusta dynia! Niezdolny pojąć tę dziwną zmianę, pochwycił gorączkowo plakat i przeczytał na nim w szarym brzasku następujące straszliwe słowa:

WIDMO OTIS'ÓW.

Jedyny prawdziwy i oryginalny upiór.

Wystrzegać się naśladownictw.

Wszelkie inne są falsyfikatem.

Pojął wszystko odrazu. Był oszukany, okpiony i pokonany! Oczy jego nabrały dawnego wyrazu Cantervill'ów; zacisnął bezzębne szczęki i podnosząc kościste dłonie wysoko nad głową, poprzysiągł, podług malowniczej frazeologji starej szkoły, że zanim zabrzmi dwukrotnie wesoły róg Szanteklera, dokona się krwawe dzieło, a Mord cichą stopą dom ten opuści.

Zanim skończył tę straszliwą przysięgę, na czerwonych dachówkach odległego domostwa zapiał kogut. Duch zaśmiał się gorzkim, przeciągłym śmiechem i czekał. Czekał godzinę za godziną, lecz z niewiadomych przyczyn kogut nie zapiał już więcej. Nakoniec o pół do ósmej nadejście służących kazało mu przerwać to okropne czuwanie. Poszedł więc do swego pokoju, myśląc o swej rozwianej nadziei i próżnym zamiarze. Tam przejrzał kilka starożytnych ksiąg rycerskich, do których miał wielkie zamiłowanie i znalazł, że zawsze, ilekroć była czyniona podobna przysięga, Szantekler piał po raz wtóry.

— Do djabła z niegodziwym ptakiem, — mruknął, — chciałbym ujrzeć dzień, w którym przeszyłbym mu gardło moją dzidą i zmusiłbym

go piać dla mnie przed śmiercią dwukrotnie! Potem położył się do wygodnej, ołowianej trumny i pozostał w niej aż do wieczora.

IV.

Następnego dnia duch czuł się znużonym i słabym. Okropne podniecenie ostatnich czterech tygodni zaczęło wydawać skutki. Nerwy miał zupełnie chore i wzdrygał się za najmniejszym szelestem. Przez pięć dni siedział w pokoju i postanowił dać spokój utrzymywaniu krwawej plamy na podłodze bibljoteki. Jeżeli rodzina Otis nie życzy sobie tej plamy, oczywistem jest, że na nią nie zasługuje.

Najoczywiściej byli to ludzie poziomi i materjalni, zupełnie niezdolni ocenić wartości symbolicznej widm. Materjalizacja i rozwój ciał astralnych były naturalnie kwestją zupełnie inną, przekraczającą zakres jego kompetencji. Jego świętym obowiązkiem było ukazywanie się w korytarzu raz na tydzień i odzywanie się pierwszej i trzeciej środy każdego miesiąca przez wielkie kolorowe okno. Nie widział sposobu, w jaki mógłby z honorem wycofać się z tych obowiązków.

Co prawda, prowadził ongi bardzo złe życie, lecz w sprawach nadprzyrodzonych był zawsze nader sumienny. Więc przez trzy następne piątki, jak zwykle, pomiędzy dwunastą a trzecią przechadzał się po korytarzu, zachowując wszelkie ostrożności, by nie być widzianym lub słyszanym. Zdejmował buty, stąpał możliwie najciszej po starych, spróchniałych podłogach, nosił duży płaszcz z czarnego aksamitu i starannie smarował swe łańcuchy maścią Rising Sun Lubricator. Trzeba zaświadczyć, że używanie tego środka kosztowało go wiele. Bądź co bądź, pewnego wieczora, gdy rodzina zasiadła do obiadu, wślizgnął się do sypialni Mr. Otis'a i zabrał stamtąd flaszeczkę. Z początku czuł się nieco upokorzony, lecz rozsądek przemógł i duch musiał uznać, że wynalazek ten wcale jest niezły i do pewnego stopnia sprzyja jego zamiarom. Lecz pomimo wszystko nie dawano mu spokoju. Wpoprzek korytarza ciągle przeciągano sznury, przez które przewracał się pociemku. Pewnego razu, gdy figurował w stroju „Czarnego Izaaka, czyli Myśliwca z lasu Hogley", potłukł się poważnie na ślizgawce z masła, którą bliźnięta urządziły między drzwiami sali a dębowemi schodami. Ta ostatnia zniewaga doprowadziła go do takiej wściekłości, że postanowił uczynić ostatni wysiłek dla uratowania swej godności i stanowiska społecznego. Zdecydował się odwiedzić bezczelnych uczniów z Eton następnej nocy w słynnej swej roli „Zuchwałego Kuperta, czyli Hrabiego bez głowy".

Nie ukazywał się w tem przebraniu przeszło od siedemdziesięciu lat, to jest odkąd tak nastraszył w nim śliczną lady Barbarę Modish, że zerwała nagle swe narzeczeństwo z dziadkiem obecnego lorda Canterville i uciekła do Gretna Green z pięknym Jack'iem Castleton, oświadczając, że za nic na świecie nie wejdzie do rodziny, która pozwala takiemu okropnemu upiorowi przechadzać się o zmierzchu po tarasie. Biedny Jack został potem zastrzelony w pojedynku przez lorda Canterville na łąkach Wandsworth, zaś lady Barbara umarła z sercem złamanem przed upływem roku u wód w Tunbrige. Był to więc pod każdym względem wielki sukces. Lecz inscenizacja tej roli była związana z wielkiemi trudnościami, jeżeli można użyć tak teatralnego wyrażenia w związku z jedną z największych tajemnic nadprzyrodzonego, lub mówiąc w terminach bardziej naukowych, wyższego przyrodzonego świata. To też przygotowania zajęły mu całe trzy godziny.

Nakoniec wszystko było gotowe i wygląd jego zadowolnił go w zupełności. Co prawda grube skórzane buty do konnej jazdy, należące do kostjumu, były dla niego cokolwiek za duże, zaś z dwuch pistoletów zdołał odszukać tylko jeden, lecz, naogół, podobał się sobie i w kwadrans na drugą wysunął się z za lamperji i prześlizgnął się przez korytarz.

Dotarłszy do pokoju bliźniąt, który zwano „Niebieska sypialnia", z powodu tapet tegoż koloru, zastał drzwi przymknięte. Chcąc wejść efektownie, szeroko otworzył drzwi, lecz jednocześnie ciężki kubeł wody spadł na niego o parę cali od lewego ramienia i przemoczył go do kości. W tej samej chwili usłyszał śmiech stłumiony z jednego łóżka. Jego system nerwowy doznał takiego wstrząśnienia, że uciekł co sił do swego pokoju i następnego dnia, ciężko przeziębiony, musiał leżeć w łóżku. W całej tej sprawie pocieszało go tylko to, że nie zabrał ze sobą swej głowy. Gdyby ją był miał wtedy skutki byłyby znacznie gorsze. (d. n.)





POWIETRZA!

Łódź należy do najniezdrowszych miast bodaj na całej kuli ziemskiej. Nieporządne, niechlujne, pełne błota, kurzu i śmietników, przesycone wyziewami kanałów. Są tu jeszcze inne zjawiska: niemal ciągle bez przerwy, o każdej porze roku pada czarny śnieg, z chmur dymu unoszących się nizko nad miastem. W pobliżu fabryk chodniki są pokryte grubą warstwą tego czarnego śniegu, a jego lotniejsze cząsteczki dostają się do płuc ludzkich. Powoli ten czarny śnieg opanowywa ubogą roślinność uliczną, czerniąc liście i krzewy. Nawet w dni słoneczne nad miastem wisi ciężki klosz czarny, z masy dymu, połączonego z kurzem. W ten sposób tamuje on dopływ świeżego powietrza z góry i setki tysięcy ludzi są skazani na ciągłe oddychanie kurzem, węglem i wyziewami z domieszką powietrza.

Zdawałoby się, że miasto, takie, w którem jego mieszkańcy są skazani na śmierć przedwczesną i ciężkie choroby, z braku czystego powietrza powinno się postarać o wytworzenie takich czynników, któreby to okropne powietrze oczyściły lub które pozwalałyby mieszkańcom także się dostawać chociaż na krótko w sfery czystego powietrza. Do takich czynników zbawiennych należą: ogrody miejskie i podmiejskie o r a z dogodne środki komunikacyjne. Niestety! Łódź wcale tego nie posiada. Jest to miasto najuboższe w drzewa i wszelką roślinność, najuboższe w ogrody i skwery; wreszcie posiada bardzo liche i drogie środki komunikacyjne, pozwalające ubogim i pragnącym rzeszom na wyjazd po za miasto. Wprawdzie w okolicach Łodzi rozwinęły się letniska, ale przedewszystkiem mają one tę wadę, że są sezonowem miejscem pobytu mieszkańców miasta; powtóre są tak drogie, że może z nich korzystać stosunkowo niewielka cząstka mieszkańców. Wreszcie w przeważnej części są liche, niezdrowe, zaniedbane, nie odkażane, rzadko odnawiane i rozrzucone śród nizin mokrych. Tylko ludzie zamożniejsi mogą sięgać po za granice letnisk podmiejskich i docierać do wsi prawdziwej. Ludzie przykuci do zajęć codziennych, nie mogą sobie na to pozwolić. Dla nich mogłyby tylko powstać ogrody. Ale, jak rzekliśmy, Łódź ich nie posiada. To, co się tu nazywa „ogrodem", gdzieindziej nosi miano skwerów. „Ogrody" te bowiem są skąpo zadrzewione i bez cienia. Wprawdzie w ostatnich czasach miasto się zdobyło na duży park, ale dotąd nie jest on jeszcze dostępny dla szerszej publiczności, pomimo, że już przed dwoma laty obiecywano jego otwarcie. Jakkolwiek park stanie się cienistym dopiero za lat kilkadziesiąt, ale bądź co bądź dziś już stanowi rozległy teren, na którym można oddychać względnie czystem powietrzem, gdyż leży on na granicach miasta, zdala od fabryk. Jest to park przyszłości, znany większości mieszkańców... z parkanu i z cegieł, które cały rok były przedmiotem kradzieży lub szkodliwych wpływów atmosferycznych, jako stanowiące materjał z rozebranego muru, który miał park otaczać. Przedsiębiorca nie potrafił, czy nie mógł zaspokoić wymagań zarządu miasta. Obecnie buduje się inny. Ale kto wie, czy po pewnym przeciągu czasu i ten nie będzie zakwalifikowany do rozbiórki. Tymczasem mieszkańcy czekają cierpliwie na chwilę, w której park stanie się dla nich dostępnym. Czy ta chwila nadejdzie w tym jeszcze roku, czy za lat kilka—trudno przewidzieć.

Tymczasem mieszkańcy marzą o parku, a obdarzeni bujniejszą fantazją nawet o „miastach—ogrodach".

Ale nawet takie niedościgłe marzenia mają cień prawdopodobieństwa, bo oto, według zapewnień „Rozwoju", wkrótce powstanie, miasto—ogród pod Łodzią. Przemysłowcy miejscowi, p.p. Zygmunt Rychter i Ernest Leonhardt, powzięli myśl stworzenia takiej dzielnicy. W tym celu nabyli oni od fabrykantów łódzkich: Salomona Borszteina i Moszka Kierszbauma, część lasów łagiewnickich i zaprojektowali założenie miasta—ogrodu. Oto zarys tego projektu (według relacji „Rozwoju"): 300 morgów właściciela pozostawiają dla swego własnego użytku, 300 morgów oddają na place i nieruchomości użyteczności publicznej, jako to: ulice, rynki, park, place pod kościół, szkoły, teatr, wieżę strażacką i t. d. R e s z t a ma być rozparcelowana na place pod budowę domów i willi prywatnych. Miasto—ogród ma być połączone z Łodzią komunikacją tramwajową przez przedłużenie linji od ul. Brzezińskiej drogą za cmentarzem żydowskim.

Ale, podając do wiadomości publicznej tak pocieszającą nowinę, pismo rozwiewa wszelkie złudzenia. Bo oto projekt ten już na samym początku natrafi na wiele przeszkód.

Przedewszystkiem na tanio nabytym placu na założenie miasta—ogrodu—ciąży ochrona leśna, nie pozwalająca na wyrąb. Następnie na miejscowość tę nie rozciąga się działalność Towarzystwa kredytowego miejskiego Łodzi. A gdyby nawet ta część lasów łagiewnickich była wykluczona z pod ochrony leśnej, to i wtedy założenie miasta-ogrodu wymagałoby wiele czasu z innych licznych przyczyn.

Obszar przeznaczony na urządzenie miasta-

ogrodu ma być podzielony na parcele, np. półmorgowe. Każda taka działka będzie kosztowała około tysiąca rubli. Nabywca jej, budując tam dom dla siebie i nie mając prawa korzystania z pożyczki Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, będzie musiał wyłożyć na budowę gotówkę. Wybudowanie skromnej siedziby własnej kosztować będzie około 20000 rb., co przynosi procent około 1600 rb. rocznie, które pochłonie komorne w jego własnym domu. Następnie nikt nie odważy się budować domu śród lasów, jeżeli uprzednio nie będzie miał urządzonych ulic, sklepów, oświetlenia i t. d. Takie zaś urządzenia i dogodności, wprowadzone uprzednio, podniosłyby znacznie wartość ziemi przeznaczonej na parcele. Wreszcie pozostaje jeszcze jeden warunek pierwszorzędny: komunikacja. Żadne towarzystwo nie zgodzi się własnym kosztem budować linje do miejscowości niezamieszkałej, licząc na przyszłe zaludnienie i rozwój tej dzielnicy. A więc nabywcy tego terenu, przeznaczonego na stworzenie miasta-ogrodu, musieliby budować linję tramwajową własnym kosztem, co znowu podniesie wartość parceli i jeszcze bardziej uniedostępni je.

Tak wygląda ten piękny projekt! Przytem ma on jeszcze jedną złą stronę, która czyni to, iż takie miasto ogród traci znaczenie dla szerszych warstw mieszkańców. Będzie ono dostępne tylko dla tych, którzy mają możność szukania powietrza i słońca gdzieindziej, nawet daleko po za granicami kraju. Radość więc,że garść kupców i przemysłowców będzie miała swoje miasto ogród, ani ziębi ani grzeje ogółu mieszkańców Łodzi.

Pod jednym wszakże względem przywiązujemy wagę do tego projektu, którego zarodek już nawet w czyn się ujawnił pod postacią nabycia lasu. Może to być początkiem istotnie ogrodów miast w okolicach Łodzi. Należałoby tylko zakładać je na zasadach współdzielczych. W takiej formie mogłyby one być dostępniejsze dla szerszych warstw ludności. Może inicjatywa dwuch przemysłowców, mająca na celu ludzi zamożnych będzie zachętą dla różnych grup ludzi tej kategorji, dla których słońce i świeże powietrze daleko po za Łodzią lub po za krajem, nie jest dostępne.

Zresztą rozwój miast ogrodów może wpłynąć na naprawę warunków zdrowotnych i mieszkalnych samego miasta.

Zenon Pietkiewicz.

Koniec sezonu.

Wiosna idzie szybkimi krokami, wnosi życie i świeżość a jednocześnie jest zapowiedzią rychłego obumarcia życia w różnych instytucjach społecznych i kulturalnych. Pierwszymi zwiastunami tej martwoty są teatry, które kończą swój sezon. Pierwsze hasło do wypoczynku dał Teatr popularny, który po pracowicie i płodnie spędzonym sezonie, zamyka podwoje na całe lato. A przyznać trzeba, że w ciągu jesieni, zimy ubiegłej aż do maja teatr ten wykazał wprost zdumiewające owoce swej pracy. Powodzenie swe zawdzięcza on niewątpliwie wyjątkowo dobranym kierownikom: p. Mielewskiemu w dziale artystycznym i p. Bolesławskiemu—w dziale gospodarczym. To też wbrew ogólnemu mniemaniu, że Łódź jest bardzo jałowym, niewdzięcznym gruntem dla sceny polskiej, Teatr popularny, obdarzając publiczność dobrym repertuarem i dobrem wykonaniem sztuk, zdobył niebywałe powodzenie materjalne. Dowiódł on zarazem, że jest ważną i wielce pożyteczną placówką kulturalną w Łodzi. Jesteśmy pewni, że już utrwalił on swój byt nadal i będzie pracował w dalszym ciągu z równem powodzeniem i równym pożytkiem.

W innych warunkach pracował Teatr polski. Jakieś szczególne fatum ścigało go od początku sezonu. Przeszedł on parę dotkliwych przesileń, które o mało nie skończyły się katastrofą, względnie szczęśliwie zażegnaną w ostatniej chwili. Podczas gdy Teatr popularny zamknął sezon patrząc w pogodne jutro, Teatr polski ma to jutro niepewne i przyćmione. Jakie będą jego losy? Kto obejmie jego kierownictwo? Jakie siły się skupią na nowo? Jakie będą podstawy materjalne i jakie powodzenie?— To są pytania, na które w tej chwili nie można jeszcze dać żadnej odpowiedzi. Życzyć tylko należy, ażeby na przyszłość było inaczej, niż dotąd; ażeby Teatr polski zdobył sobie inne podstawy i inne warunki istnienia.

* * *

Wielką żywotność wykazała inna instytucja artystyczno-kulturalna: „Lutnia“ łódzka, która swój rozwój i ogromną ruchliwość w ostatnich czasach zawdzięcza w znacznej mierze dzielnemu i energicznemu prezesowi, d-rowi B. Łuczyckiemu. Ostatnie dwa wielkie koncerty wyrobiły powszechne uznanie, no i dobrą markę dla tej instytucji. Mielismy sposobność słyszeć pierwszorzędne siły, jak Dygasa, Korolewicz—Waydową, Ozimińskiego.

Ale nie na tem koniec. Ostatni wielki koncert z udziałem p. Korolewicz—Waydowej był jednocześnie próbą połączenia sił dwu instytucji pokrewnych: „Lutni“ i Towarzystwa im. Chopina. Orkiestra symfoniczna Tow. im. Chopina oraz połączone chóry obu instytucji, bardzo dobrze wykonały uwerturę i prolog ze „Strasznego Dworu“, Polonez A—dur Chopina, wreszcie polonez z „Halki“. Oby ta próba połączenia sił była zapoczątkowaniem trwałego połączenia obu instytucji, co niewątpliwie wpłynęłoby bardzo pomyślnie na losy muzyki i pieśni polskiej w Łodzi.

Heron.

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, **Łódź, Inżynierska 1.**

CHWILA BIEŻĄCA.

Z TYGODNIA.

Rodzajowy obrazek. — Ordynat Bisping. — Krew za krew. — Dekapitacja bandytów samochodowych. — Społeczeństwo umie karać za zbrodnie. — Łatwiej być dobrym, gdy...

Oto rodzajowy obrazek: Pani szuka pośpiesznie czegoś wśród szpalt przed chwilą przyniesionego dziennika, poczem z niechęcią rzuca pismo na bok. Zapytuję, czy może niema wiadomości z placu boju, o Austrji, Czarnogórzu, lub o nowych wybrykach sufrażystek, albo też czegoś z tak blizko nas obchodzących spraw wywłaszczeniowych lub też czegoś o samorządzie dla Królestwa polskiego? — Ach, nie—brzmi odpowiedź— niema dziś nic o tajemniczem morderstwie w Teresinie.

Rozumie się, trudno odrazu, uwierzyć w coś podobnego, żeby któregoś tam dnia w gazecie nie było sensacji „tak blizko społeczeństwo nasze obchodzącej“ postarałem się więc nadobną towarzyszkę pocieszyć w „słusznem“ zmartwieniu, a udało mi się to dopiero wtedy, gdy zaleciłem jej cierpliwość do „jutra rana“ napewno bowiem dzienniki z nawiązką wynagrodzą dzisiejsze milczenie, (co też się stało), a żeby ostatecznie wywołać uśmiech na zasmuconej twarzyczcę, najsolenniej oświadczyłem, że mam najszczerszy zamiar dać podobiznę ordynata Bispinga w następnym numerze *Złotego rogu*.

Zaspakajając jednak w ten sposób ciekawość czytelników, nie mogę nie nadmienić, że ordynat Bisping był człowiekiem najszlachetniejszych zawsze popędów i mimo nawet pewnej czasem sztywności w obejściu zyskał wśród wszystkich, którzy go znali, lub słyszeli o jego czynach, pełne i prawdziwe uznanie. Wprost wyobrazić sobie nie można, żeby człowiek tego pokroju zdolny był do morderstwa, nasuwa się tylko przypuszczenie, że może zabójstwo było wynikiem chwilowego uniesienia się ordynata lub chwilowego jakiegoś ataku furji aż do utraty przytomności. Ordynat był niezwykle nerwowym, łatwo tracił świadomość w sytuacjach krytycznych, może więc coś podobnego zaszło podczas pamiętnej przejażdżki p. Bispinga z ks. Lubeckim, tembardziej że książę, mimo nawet swych wielu dobrych i sympatycznych stron, miał charakter dość trudny i nierówny.

W każdym razie wina ordynata Bispinga nie jest stwierdzona i, wobec tego, tymczasem nie należy snuć łatwych i nie opartych na stałych podstawach posądzeń.

Ale i na szerokim świecie była w tych czasach jedna niepoślednia sensacja. Tracono w Paryżu trzech słynnych bandytów samochodowych. „Sprawiedliwość“ ludzka traciła ich więcej dla... „przykładu“. Cechy bowiem przestępstwa—jak szereg morderstw nie skrytobójczych, bez znęcania się lecz popełnionych podczas walki z policją i osobami napadniętemi, gdy napastników popchnęły do tego ciężkie warunki bytu z złowrogiem widmem głodu—te cechy nie kwalifikowały jeszcze trzech nieszczęśliwych do dekapitacji, lecz tylko na długoletnie ciężkie roboty. Stało się jednak inaczej, postanowiono krew przelać za krew, to co uczynili trzej zuchwalcy-nędzarze, trzej niedowarzeni młodzieńcy, których warunki wychowania i bytu były już szkołą wstępną do przyszłych czynów, to było bodźcem do krwawej odpowiedzi dla mężów dojrzałych, wychowanych w warunkach moralnych, mężów wykształconych i... sytych, dzierżących dłonie na posłusznych ich woli sterach rządu.



Ordynat baron Bisping,
towarzysz ostatniej przejażdżki ks. Wł. Lubeckiego.

Kaźń odbyła się wczesnym rankiem, na plac dopuszczona była tylko ograniczona garstka osób a więc przedstawiciele władzy, redaktorowie, artyści, obrońcy skazanych i trochę t. zw. „uprzywilejowanych“ osób. Około godz. 3 ej r. zaturkotało... zajechał furgon, z którego wyszedł kat Deibler z pomocnikami. Poczęto wynosić coś z furgonu. To części—gilotyny. Rozpoczęło się ustawianie, od czasu do czasu młotek uderzył—wszystko szło sprawnie i gładko... Obecnych dreszcz grozy przejmował na widok rosnącego narzędzia mordu. I znów zaturkotało coś w dali— turkot staje się coraz głośniejszy—zajeżdża wóz, otoczony żandarmami. To oni — skazańcy—przyjechali—wojsko obnaża szable...

Po chwili z furgonu wyłaniają się trzy sylwety—chłód przejmujący a oni obnażeni do połowy. Stanie się, co stać się miało, społeczeństwo będzie pomszczone—krew za krew.

Pierwsza z sylwet podchodzi do maszynki—pada na deskę— pomocnicy kata przytrzymują tułów skazańca... Coś stuknęło—zabłysło — ześlizgnęło się... i potoczyła się głowa do kosza, jak nożyczkami odcięta... krew bluznęła, purpurowa kałuża zajaśniała w brzasku pod gilotyną.

Mniej o jednego...

Drugi skazaniec postępuje parę kroków, jest blady lecz z uśmiechem rzuca się na deskę... i znów głuchy stuk—zsunięcie się czegoś—druga głowa w koszu i... większa jeszcze kałuża pod ohydną maszyną.

Trzeci skazaniec—Monier.

Ten gorzej upadł na deskę Brutalne dłonie pomocników kata chwytają go za włosy i podciągają na rzeź, szarpią okrutnie, żeby szyja dobrze pod nóż się dostała. Jakaż straszliwa dbałość o skazańca! Chwila... kat Dejbler znów naciska niewinną małą sprężynkę. Żelazo ześlizgnęło się—tułów pozostał na desce — głowa w koszu, — krew, jak woda rynną deszczową, buchnęła z obciętej szyi...

Stało się zadość sprawiedliwości. W myśl tego że zabijać nie wolno, publicznie zabito trzech ludzi, tragicznych bandytów samochodowych, których nazwiska: Soudy, Callemin i Monier. Zabito trzech nieszczęśliwych dla „przykładu", choć w analogicznych zbrodniach zwykle zamieniano karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Społeczeństwo umie karać za zbrodnię, lecz nie umie widać tak przeciwdziałać zbrodni, jakby miało możność i obowiązek. Zwrócić trzeba baczniejszą uwagę na urządzenia społeczne, na oświatę, dobrobyt i w tym kierunku rozwinąć gorącą pracę.

Łatwiej być dobrym, gdy w życiu niczego nam nie braknie a rozum stawia nas w rzędzie należnym godności ludzkiej, niż w wypadku—gdy ciężka walka o byt stara się wyszarpywać z naszych serc wszystkie lepsze uczucia, a błogosławione promienie oświaty nie uświęcają naszego czoła. *Scriba.*

Wystawa wiosenna w Zachęcie.

Wystawy wiosenne mają już w świecie artystycznym, szczególniej na Zachodzie, swoją dobrą tradycję, przedstawiają bowiem plon pracy artystów w najruchliwszym, najbardziej w silne napięcia nerwowe obfitującym sezonie zimowym, są poniekąd przeglądem zbiorowym miejscowych sił i aspiracji, przeglądem, ustalającym nawet dość często prądy i kierunki chwili, a równocześnie czynią te wystawy zadość budzącej się wraz z wiosną żywszej potrzebie wrażeń artystycznych, spotęgowanej wrażliwości uczuć na piękno przyrody i piękno dzieła sztuki.



Helena Krasnosielska. (Tow. Z. S. P.) **Portret p. Cz.**

Obecna wystawa wiosenna w Zachęcie jest dla nas temszczególniejszym wypadkiem dnia, że biorą w niej udział wyłącznie warszawscy artyści, i że z tego względu daje nam ona już mniejwięcej dokładny pogląd na całą produkcję artystyczną Warszawy. Coprawda nie wszyscy jeszcze biorą w niej udział; brakuje dużo nazwisk, które już bardzo chlubnie zapisały się na kartach naszej sztuki, niemniej przeto tegoroczna wystawa wiosenna ilością jak i doborem dzieł robi imponujące wrażenie. Przewagę zaś bezwzględną ma krajobraz, tembardziej, że cała jedna sala, obejmująca wystawę zbiorową prac Teodora Ziomka, poświęcona jest wyłącznie krajobrazowi.

Z pośród licznych uczniów ś. p. prof. Jana Stanisławskiego jest Ziomek bezsprzecznie jednym z najzdolniejszych. Wykorzystał on umiejętnie zdobycze kolorystyczne mistrza i, na co szczególniejszy położyć należy nacisk, opanował także gruntownie rysunek. W całym szeregu jego krajobrazów, większych i mniejszych, drzewa, wody, łany, w słońcu lub w dzień pochmurny, są prawdziwe, jest w nich intensywnie wyczuty ton powietrza i poezja w nastroju.

W pewnym przeciwieństwie do wystaw wiosennych na Zachodzie, na których przeważają zazwyczaj krajobrazy zimowe, spotykamy tutaj już dużo prac w charakterze wiosennym, z czego wnioskować można, że artyści nasi wykorzystać potrafili pierwszy wiosenny promień słońca, że dali prace wprost od ręki, mające też pewne cechy bezpośredniego zetknięcia się z naturą. Świetnym obrazem, w którym przemawia tchnienie wiosny, jest „Początek wiosny" Stefana Popowskiego, podobnież w tonie „Pałac w Łazienkach" Stanisława Podgórskiego, dalej obrazy K. Biskiego, J. Jarosza, Wł. Ostrowskiego, K. Czarnockiego, St. Sawiczewskiego, Br. Kopczyńskiego i kilka jeszcze innych.

Z pokaźnym zastępem obrazów rodzajowych, kompozycji figuralnych na tle krajobrazu lub też krajobrazów o wyszukanym nastroju, wystąpili nasi znani i uznani mistrze warszawscy: Józef Ryszkiewicz, Henryk Piątkowski, Antoni Piotrowski, Józef Rapacki, Kazimierz Lasocki, Apolonjusz Kędzierski, Wład. Wankie, Br. Kowalewski, Florjan Piekarski; z malarek: Marja Czajkowska-Kozicka, Wiga



M. W. Czepita. **Ponsowe róże.**
(Tow. Z. S. P.).

Siedlecka; przepyszną w tonie kolekcję krajobrazów „Z nad Niemna“ dał Eligjusz Niewiadomski; ciekawe studja rodzajowe z końmi na pierwszym planie wystawili Feliks Szewczyk i Jan Kotowski, ciekawe i niezwykłe w nastroju kompozycje fantastyczne pokazał nam Antoni Gawiński, a znany batalista, Stanisław Bagieński oprócz poprawnego jak zwykle obrazu batalistycznego „Rok 1809“ także dwie kompozycje ideowe „Wojna“ i „Pokój,“ które żywo bywają komentowane.

Portret stosunkowo słabiej jest reprezentowany, lecz spotykamy tu kilka rzeczy pięknych i zasługujących na uwagę, jak szczególniej subtelny w tonie i wyrazie jakby pewnego rozmarzenia Heleny Krasnosielskiej „Portret pani Czempińskiej,“ dalej portrety Ludomira Janowskiego, Marji Koźniewskiej, Michała du Lauransa, Leokadji Ostrowskiej, Haliny i Stanisławy Maszyńskiej, Leokadji Łempickiej, I. Weinlesa i t. d.

Z kwiatów i martwej natury wymienić jeszcze należy świeże i żywe w kolorycie „Róże“ Michała Czepity, kilka prac Władysławy Piątkowskiej, Natalji Dzierżkówny, Jana Trzaski i St. Ejsmonda.

Feliks Lubierzyński.

Jubileusz Józefa Kotarbińskiego.

Zaiste, jeden z najzasłużeńszych pracowników na niwie literatury i sztuki, święcił w bieżącym tygodniu jubileusz twórczej i odtwórczej swej pracy... Tym drogim i szanownym jubilatem był znany i uznany znakomity literat i artysta, Józef Kotarbiński, który przez 45 lat z piórem w ręku, a 35 w służbie ukochanego przezeń teatru, nieocenione usługi oddał naszemu społeczeństwu.

Urodzony w r. 1849 w Czemiernikach w gub. Lubelskiej, był jednym z nielicznych już dziś wychowańców b. Szkoły Głównej, gdzie uczęszczał na wydział historyczno-filologiczny.

Od wczesnej młodości zaciągnął się pod sztandar literatury, próbując początkowo swych sił w wychodzącym wówczas „Przeglądzie Tygodniowym“. Świetne artykuły zyskały mu wkrótce wzięcie, to też prace jego ukazują się następnie i w innych pismach, gdzie młody acz wytrawny już dziennikarz-literat, zabiera głos jako publicysta niepowszedniej miary.

W kilka lat później — równolegle z tryumfami, które zbierał na polu literackiem, zaczyna Kotarbiński zbierać laury w teatrze i na estradzie, jako świetny artysta i deklamator.

Nie przestaje jednak pisać, owszem, talent jego dojrzewa i potężnieje. Wytrawny esteta, wierny w służbie piękna, pogodny w sądach, daleki od wszelkiej zgryźliwości a nadewszystko—sprawiedliwy, ujmuje umiejętnie i z rzadkiem znawstwem nietylko talenty pisarzy znanych



Józef Kotarbiński.
Jubileusz pracy literackiej i artystycznej.

lecz i talenty młode, nowe, o których nieraz pierwsze słowo jemu rzec przypadło w udziale.

Daleki od wszelkiego dekadentyzmu, lub chorobliwych naleciałości, prześladujących talenty, zanim nowy jakiś kierunek w sztuce i literaturze skrystalizuje się i podąży już jasno wytkniętą drogą, był Kotarbiński zawsze przeciwnikiem wszelkich błądzeń, majaczeń i mglistości, w poszukiwaniach nawet nowych dróg pragnąc widzieć tę rozpierającą piersi młodocianą, dynamiczną, zdrową siłę, która nie po omacku idzie lub upaja się chaosem poszukiwań, lecz pewna swych środków, dąży naprzód w zwycięskim pochodzie, zdobywając nowe władztwa i nowe dziedziny.

Choć popularny, choć tak lubiany, nieraz jednak zakosztował goryczy z czary, podanej niecną dłonią zawiści, lecz tem większa jego zasługa, że w takich chwilach, nie zrażony, pracował z niezmożoną siłą dla dobra społeczeństwa, a jak pracował—odpowiedzią na to jest całe jego godne i dostojne życie.

Od r. 1899 do 1905, jako dyrektor T e a t r u Krakowskiego, piękną po sobie pozostawił kartę. Wielkie również zasługi położył dla teatrów rządowych warszawskich, jako kierownik literacki dramatu i komedji. Przy umiejętnym doborze repertuaru obcego, popierał przedewszystkiem siły swojskie, starając się zapoznać naszą publiczność z najwybitniejszemi arcydziełami literatury dramatycznej.

Do jednej z większych zasług Kotarbińskiego należy sumienne badanie dziejów polskiego teatru, z któremi zapoznał ogół w licznych swych artykułach i feljetonach.

Wśród dorobku artystycznego jubilata na szczególne wyróżnienie zasługują studja:

„O Makbecie Szekspira“, „Nowy żywioł w poezji polskiej“, „Szczęście wobec pesymizmu“, „Studjum o Królu Learze, Szekspira“, „Don Juan i Beniowski“, „Jan Matejko“, „Eliza Orzeszkowa“, „Adam Asnyk“, „Szekspira Sen nocy letniej“, „Aleksander Świętochowski“, „Dramat ludowy“, „Dramat filozoficzny“, „Niezdrowa miłość“, „Pogrobowiec romantyzmu“.

Ze wszechmiar więc zasłużony jubileusz obchodziliśmy w bieżącym tygodniu, to też ze szczerem sercem możemy życzyć czcigodnemu jubilatowi jaknajdłuższych jeszcze lat, tak owocnej dla społeczeństwa pracy.

W. Z.





Teatr Polski.—„Wróg Ludu".

Wprowadzenie na repertuar Teatru polskiego „Wroga ludu", ciekawej ze względu na swe założenie sztuki znakomitego skandynawskiego autora Henryka Ibsena, nasuwa pytanie, czy dobrze uczyniła dyrekcja, dając to niezbyt sceniczne dzieło do wysłuchania naszej publiczności.

Po wystawieniu sztuki zarzucano teatrowi, że daje słabszą rzecz Ibsena, gdy przecież jest do wyboru tyle jeszcze świetnych jego utworów.

Tak, lecz „Wróg ludu" ciekawy jest ze względu na swe idee, ciekawy jako... rękawica, którą wielki pisarz rzucił był w swoim czasie zdemokratyzowanemu bez umiaru społeczeństwu. Nie chodzi bowiem o usunięcie mas ludowych od udziału w życiu społecznem, lecz o niedopuszczenie tych mas o ile nie są jeszcze należycie przygotowane i ukształcone do decydowania w kwestjach sztuki, nauki, urządzeń społecznych i t. p. Lud to surogat, to dopiero gleba, która może i powinna wydawać „ludzi lepszych". W tym duchu przemawia w sztuce główny bohater dr. Otton Stockman, za co zyskuje miano „wroga ludu". Fanatyk to może, lecz człowiek wprost prymitywnie uczciwy, bodaj że naiwny nieraz w swej uczciwości. Idea-



Henryk Ibsen.

lista bez skazy, pragnący arystokratyzacji ducha, na ołtarzu pragnień dobra dla społeczeństwa, palący nawet byt materjalny swojej rodziny, przeciwstawiający się z zaparciem wszystkiego, szablonom i nieuczciwości otaczającego ogółu.

Zelwerowicz rolę Stockmana odtworzył inteligentnie i z istotnem wczuciem się w psychologję postaci, co złożyło się na świetny całokształt jego gry.

P. p. Kozłowska, Dulębianka, Sosnowski, Zieliński, Junosza, Grabowski i inni dzielnie sekundowali głównemu bohaterowi.

W. Z.

Teatr Mały. „Spóźniona miłość".

Jules Lemaître, autor „Miłości spóźnionej" nie posiada talentu scenicznego. To trudno. Jest wykwintnym i subtelnym krytykiem, ogromnie wrażliwym na poruszenia duszy ludzkiej, ale brak mu tego świętego ognia, który z *pisarza* czyni poetę. I dlatego „Spóźniona miłość", którą wczoraj poraz pierwszy wystawiono na scenie Teatru Małego, jako utwór sceniczny, posiada wszelkie cechy miłości spóźnionej, w której namiętność maleje do cichej, bladej skłonności serca, a poryw uczucia, jest niby chłodny uśmiech jesiennego słońca. Zbudowawszy istotnie ciekawy problem miłości starca do młodej dziewczyny, autor zręcznie lawirując, zupełnie go nie rozstrzygnął, jeno chyłkiem, po linji dramatycznego napięcia przebiegł na teren komedjowego ujęcia zagadnienia, które stanowi przecież kręgosłup sztuki.

P. Jaracz, w roli mistrza Mareze'a był... mistrzem Marezem.

J. A.

Miecz i dyplomacja.

W Kalejdoskopie bałkańskim. — Dyplomacja Essada - Paszy. — Król Mikołaj zrzeka się Skodaru — Operetkowe widowisko. — Rozwiane widmo grozy. — Pieniactwo dyplomatyczne. — Ex-Król Manuel i księżniczka Hohenzollern.

Od pół roku położenie na półwyspie Bałkańskim zmienia się wciąż, niby szkiełka w kalejdoskopie. Jeszcze pół roku temu największem, najpotężniejszem państwem była tam Turcja, — dziś państwa tego niema już tam prawie. Jeszcze tydzień temu Austrja całą siłą swych rozporządzalnych środków zabiegała około tworzenia Albanji niezależnej, wbrew niechęci lub obojętności innych mocarstw,— dziś ta sama Austrja szykuje wyprawę wojenną przeciwko tej samej Albanji, i właśnie dlatego, że ogłosiła swą niezależność, tylko nie według austrjackich planów i zamysłów.

Essad-pasza, bohaterski „obrońca Skodaru"—za takiego przynajmniej uchodził przez czas długi w oczach Europy — okazał się ostatecznie śmiałym awanturnikiem i zręcznym dyplomatą. Bronił długo warowni przed atakami serbsko-czarnogórskimi; dziwiono się nawet owej jego zaciętości, dla Turcji bowiem, w której imieniu występował, Skodar bezwarunkowo był stracony. Aż nagle Europą wstrząsa wieść zarówno sensacyjna, jak niespodziewana: Essad-pasza oddał bez wystrzału Skodar królowi Czarnogórskiemu, a sam się ogłosił królem Albanji. Ceną, za jaką król Mikołaj zajął Skodar, było pozwolenie Essadowi-paszy na wyjście z warowni z całą pozostającą pod jego dowództwem armją. Naturalnie,—cóżby wart był król bez armji.

Był to wypadek, jeden z najmniej oczekiwanych, jakie w ostatnich czasach zdarzyły się na Bałkanach. Wywrócił on wszystkie zamiary dyplomacji europejskiej. Bo jakże?—Austrja miała przeciw sobie głównie serbów i czarnogórców, protestujących przeciw Albanji niezależnej, a już co najmniej



Essad-Pasza,
samozwańczy „Król" Albanji.



Wojska austrjackie wśród wąwozów, na granicy Serbji w drodze do Czarnogórza.



Ex-król Manuel portugalski z narzeczoną księżniczką Augustą Wiktorją von Hohenzollern-Sigmaringen.

przeciw granicom, jakie jej Austrja nadać chciała. Tymczasem czarnogórcy, a za nimi prawdopodobnie i serbowie usuwają się z pola tych zatargów, — król Mikołaj, który przez pół roku groził, że za nic nie wyrzecze się posiadania Skodaru, ustępuje bez walki. Austrja zaś staje przeciw temu, co sama stworzyć chciała choćby kosztem własnaj ruiny ekonomicznej, choćby z narażeniem własnego bytu państwowego.

Wszystko to uczynił jeden Essad-Pasza, człowiek, o którym wczoraj zaledwie coś słyszano w Europie, a który onegdaj nikomu jeszcze nie był znany. Najlepszy to dowód jak płytkie, jak bez znaczenia, jak bez najmniejszej wartości są wszystkie owe machinacje dyplomatyczne, grożące wojną wszech-europejską, potokami krwi, ogólną ruiną.

Trudno jeszcze powiedzieć dziś, że niebezpieczeństwo, jakie od pół roku wisi nad Europą, całkowicie zostało usunięte. Tkwi ono wciąż w jakiejś nieposkromionej żądzy wojennej, okazywanej ze strony Austrji. Czarnogórze, odstępując od Skodaru, uczyniło za jednym zamachem zadosyć wszystkiemu, czego żądała Austrja i kierownik jej zewnętrznej polityki, hr. Berchtold. Słusznymi jednak snać były zarzuty, stawiane temu politykowi, jakoby uprawiał „pieniactwo dyplomatyczne". Nie radowało go załatwienie sporu z Czarnogórzem, szykuje więc nową wojnę — tym razem z Albanją. I zapewnia świat cały, że idzie mu tylko o zaprowadzenie tam ładu.

Zapewnienie to nie pokryje istotnej treści zamiarów austrjackich. Hr. Berchtold pragnie pozyskać dla Austrji Albanję, zająć ją poprostu, wcielić do organizmu austrjackiego.

Czy Europa zgodzi się na te zaborcze plany austrjackie? Zmęczona, zdenerwowana wszystkiem tem, co się dzieje od pół roku, chciałaby odetchnąć spokojniej, zająć się innemi sensacjami, nie tak groźnemi jak owe, nadpływające z Bałkanów. A sensacji takich nie brak. Dość wspomnieć o zamiarach matrymonjalnych ex-króla portugalskiego Manuela. Dopóki siedział na tronie, nie mógł dobrać sobie żony; gdy go z tronu zrzucono, wyszukał sobie narzeczoną, w Niemczech, księżniczkę Hohenzollern-Siegmaringen, podobno jedną z najpiękniejszych niewiast niemieckich. *h. m.*

Warszawska kooperatywa drzewna.

Dnia 4 Maja r. b. odbył się akt poświęcenia lokalu i składów nowo zorganizowanej spółki pod nazwą „Warszawska kooperatywa Drzewna". Poświęcenia dokonał ks. kanonik Feliks Puchalski proboszcz parafji Ś-go Stanisława na Woli, wobec licznie zebranych udziałowców i osób na ten akt przez zarząd zaproszonych.

Składy i lokal zarządu mieszczą się na posesji firmy Br. Bevensee przy ul. Czerniakowskiej № 75.



Poświęcenie „Warszawskiej kooperatywy Drzewnej". (Fot. „Świteź.")



Femina

SUFRAŻYSTKI.

Czas już najwyższy zerwać z tą taktyką niesmacznych żartów i płaskich dowcipów, które na wzór niemieckiej i paryskiej prasy, stosują pisma polskie do potężnego już dziś emancypacyjnego ruchu kobiet.

Zwłaszcza nam, Polakom, znanym ze swej rycerskości dla kobiet, nie przystoi naśladować niemieckich burszów lub francuskich *bons vivant'ów*.

W Europie, emancypacyjny ruch kobiet najdobitniej i najjaskrawiej manifestuje się w krajach Północy, gdzie Finlandja, Szwecja i Norwegja przez emancypację polityczną kobiet-obywatelek wyniosły się na szczeble takiej kultury społecznej, o jakiej Prusom, a nawet i Francji, w obecnej chwili marzyć nie wolno. Zniesienie reglamentacji prostytutek, państwowa walka z alkoholem i chałupnictwem—oto najgłówniejsze zdobycze emancypacyjnego ruchu Finek, Szwedek i Norweżek.

Od kilku miesięcy europejska prasa podaje wiadomości o terorystycznej akcji zwolenniczek równouprawnienia politycznego w Anglji. Istotnie akcja kobiet angielskich pozostawia dużo do życzenia pod względem celowości i praktyczności.

Jednak nie ulegajmy tendencyjnym oświetleniom tej sprawy, a zwróćmy uwagę na suche cyfry. Byłem niedawno w centralnem biurze *Women's Social and Political Union w Lincoln's Inn House, na Kingsway w Londynie*. Wręczono mi VII sprawozdanie za rok 1912-y. Otóż, terorystyczna akcja sufrażystek angielskich, znana dostatecznie z codziennych pism, pochłonęła 367 „ofiar“ wykonawczyń, z których 311 uwięziono. Z tej liczby, 130 kobiet urządziło głodówkę w więzieniu i do 89-ciu zastosowano „przymusowe odżywianie“, którego rezultat—uwolnienie uwięzionych z powodu niebezpiecznego stanu zdrowia.

Otóż akcja, która może poszczycić się takim bilansem, nie zasługuje na głupie dowcipy w ocenie, lecz zmusza do poważnego i krytycznego zastanowienia się. Nie dziwno mi też, że rząd angielski wniósł do parlamentu, przyjęty już dziś bill, o zaprzestaniu stosowania przymusowego odżywiania uwiązionych sufrażystek.

Dochody organizacji sufrażystek w Anglji za rok sprawozdawczy wyniosły przeszło 5,000 funtów sterlingów, czyli blizko *50,000 rubli*. Kilkupiętrowa kamienica, wspaniale urządzona na *Kingsway*, świadczy o zasobach stałych.

I pomyśleć tylko, że potężny ten ruch stworzyła energiczna kobieta, pani Ewelina Pankhurst, której fotografję załączamy. Skazana obecnie przez sądy na 2 lata więzienia, matka dwuch córek: Sylwji i Christabel, wdowa po adwokacie, pani Pankhurst, od lat dwudziestu przeszło pracuje na polu społecznych reform w Anglji. Był czas, kiedy na wzór założyciela Armji Zbawienia, zwiedzała najciemniejsze i najbrudniejsze zakątki Londynu, kiedy chciała walczyć na drodze filantropji, i petycji do parlamentu z prostytucją, wyzyskiem i całą tą gehenną wielkich miast.



Ewelina Pankhurst,
„wódz“ angielskich sufrażystek.

„Zrozumiałam, że wysiłki moje są próżne“, mówiła p. Pankhurst do jednej z Polek, „ustawodawstwo społeczne może zmienić jedynie kobieta, siostra tych nieszczęsnych istot. Mężczyzna nie chce i nie umie odczuć tych potwornych stosunków, wtrącających nieletnie dziewczęta w błoto nierządu, zbrodni i występków bez nazwy.

Zawsze miałam głęboką sympatję dla nieszczęsnego, a tak świetnego niegdyś narodu, jakim jest Polska. Gdybym nie miała swego celu: *Votes for Women* w Anglji, bez chwili wahania poświęciłabym swe życie dla ojczyzny pani".

Słowa takie, wyrzeczone przez kobietę tej miary, co pani Pankhurst, obowiązują. Obowiązują one w pierwszej linji nas, publicystów polskich, do [sumiennego informowania społeczeństwa naszego o wielkim ruchu emancypacyjnym kobiet angielskich.

Młodsza córka pani Pankhurst, Sylwja od kilku tygodni przechodzi męczarnie „przymusowego odżywiania" w więzieniu. Starsza—Christabel, zwana w Anglji „Sun-Jat-Sen'em w spódnicy" lub „Złotą Pszczółką" jest „na emigracji" w Paryżu i zalicza się do bardzo zdolnych i energicznych terorystek.

Londyn, w kwietniu. *M. Dąbrowski.*

MÓJ TYP.

Czy ja jestem istotnie twoim typem?.. Ależ tak, ależ tak... śpiewał już hrabia Luksemburg, tak mówiono już przed dziesięciu laty i tak mówić będą jeszcze przez długie lata. „Typ" jest to określenie pewnego gatunku, pewnego wyglądu, obdarzonego oznakami i właściwościami czysto osobistemi. Jeden, jako *typ kobiety*, lubi mdłe eteryczne blondynki, małe, drobne, z zadartymi noskami, drugi lubi szatynki, wysokie, smukłe, gibkie, nerwowe, trzeci przepada za ognistemi brunetkami, o wybuchowych temperamentach—a każdy nazywa swój gust — *swoim typem.* I tak każda żeńska istota zaczynając od owych Balzakowskich, o kształtach okazałych a wdziękach przekwitających, a kończąc na piętnastoletnich nikłych, anemicznych pączkach — podlotkach, każda z tych istot podoba się jakiemuś mężczyźnie, każda jest czyimś *typem.* I nie tylko prości śmiertelnicy ale najwybitniejsi artyści—malarze, mają swoje uprzywiljowane typy ciągle się w ich utworach powtarzające, a o ile malarz-portrecista kobiet, trafi na swój ulubiony typ w pozującym modelu, to przystępuje do dzieła z entuzjazmem—z zachwytem i tworzy portret bajecznie piękny... Sławny francuski malarz *Gosé* umiłował typ *ultra modern,* postacie kobiet wysokich, prawie przejrzystych, spowitych w nadmodniejsze szaty. Malarz *Préjalon* obrał jako typ osiemnastoletnie modystki o silne ufryzowanych głowach, pokrytych lokami; *Touraine* maluje specjalnie panie z arystokracji, blade, szczupłe, wysokie. *Drian* obrał jako typ królowe mody i wyszukanej elegancji. *Boulet de Monvel* maluje portrety kobiet o typie męskim, w odpowiednich kostjumach; *Fabiano* odtwarza specjalnie typy kobiet rosłych, pełnych i już nie pierwszej młodości. Wszystkie typy kobiet znajdują się w dziełach mistrzów, wysokie i nizkie, szczupłe i pełne, uśmiechnięte i sentymentalne—młode i stare...

Zadziwiającem jest istotnie, jak w czasach obecnych, w których moda tryumfuje na całej linji — typ kobiety łączy się ściśle z jej strojem, — a często bardzo, już sam strój wytwarza typ! Wielu znanych malarzy sami wskazują tualety swoich modeli według własnych swych gustów, a ostatnim słowem tego artystycznego kierunku, jest założenie w Paryżu sławnej już dziś *L'association des peintres de la femme* do której należą najpierwsi francuscy malarze, wywierający znamienny wpływ na modę i na jej przejawy. Dziś wielka dama lub posiadająca materjalne warunki damy, przed zamówieniem tualety u krawców i modystek, udaje się do wybitnego malarza prosząc go o dokładne szkice tych tualet—mistrz znający się na materjałach na kroju i na najdrobniejszych szczegółach tualety — lepiej od niejednej krawcowej zastosowuje malowane starannie projekty tualet *do typu* damy, która opłaca to sumą kilku tysięcy franków i dopiero zamawia malowane przez mistrza, stroje. Przyznać należy, że jest to wspaniały sposób umniejszenia sobie kłopotu i nabycia pewności, że się będzie istotnie pięknie ubraną.



Jeden ze znanych francuskich autorów tak określa *swój typ.* „Jaki jest mój typ?... Doprawdy nie wiem — to nie łatwo określić. Za to wiem dokładnie jakim on nie jest. Mój typ nie może być otyły, ani krótki, ani ciężki — ani piękny. Nie lubię pięknych kobiet, zapatrzonych w siebie i do siebie rozmodlonych. Mój typ? Nie mam żadnego. Dziś jest on ciemny, ale jeżeli tak chce moda—jutro może być blond, jest on szczupły, pełen gracji, kapryśny jak dzika kotka—musi umieć świetnie pozować—ale nie pozować nigdy, musi mieć zręczne stopy,

zgrabne i delikatne ręce, musi być ładnie złożony. Mój typ musi być elegancki w całości i szczegółach, ale strój musi być tylko ramą z której wyjęty powinien nic nie tracić na wartości artystycznej. Wartość ta polega na rozlicznych czynnikach tworzących urok kobiecy, jak np. brzmienie głosu, śmiech, naturalne zaperfumowanie ciała i włosów, ruchy, sposób chodzenia— ten ostatni tak ważny—że już sam jest pięknością. Mój typ nie powinien nigdy nudzić mnie z artystycznego punktu widzenia — a z chwilą w którejby, mnie już nie olśniewał — przestałby być moim typem.

Czy to wszystko może być złączone w jednej osobie?... Nie wiem — „dotąd szukam i mam nadzieję — nie znaleźć — bo to poszukiwanie jest nad wyraz ciekawe i zajmujące. Dotąd moim typem jest suma wielu czarujących kobiet. Jedno tylko jest pewne — że ja muszę być typem — mojego typu"!...

Marcèle.

ZABAWA MILJARDERÓW.

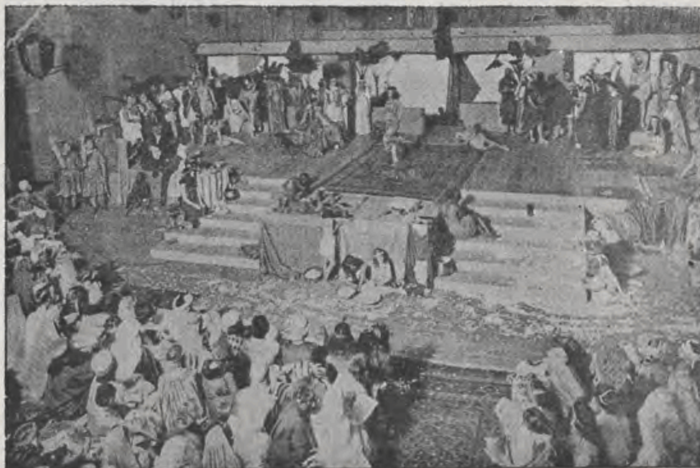
Przed paru tygodniami w domu miljardera pana Ludwika E. Tiffany w New-Yorku, odbyła się „Uroczystość Egipska", która przebajecznym swym przepychem zaćmiła wszystko, co się dotąd w tym kierunku na świecie pojawiło. Był to rodzaj teatru amatorskiego, przedstawiającego różne sceny z czasów Kleopatry. W wykonaniu przyjmowały udział najpierwsze siły wokalne, dramatyczne i taneczne stolicy. Wszystkie kostjumy artystów i zaproszonych gości były obmyślane i malowane przez Stowarzyszenie powag artystycznych New-Yorku i temu głównie przypisać należy nieposzlakowaną autentyczność starożytno-egipskiego stylu.

Egipcjanie, Assyryjczycy, Persowie, rzymski Liktor, władca Aleksandrji, najcudniejsze wschodnie piękności, noszące miljonowe klejnoty, wszyscy zjawili się, by oddać cześć Królowej Kleopatrze. Tu i owdzie porozstawiano detektywów w strojach egipskich, których obowiązkiem było czuwać nad bezpieczeństwem bezcennych dzieł sztuki, napełniających pałac miljardera oraz nad niebywałą ilością nagromadzonych pod jenym dachem klejnotów.

Tancerze i tancerki, między któremi znajdowała się także—sławna egzotyczna tancerka p. Ruth St. Denis, zabawiali gości. Po skończonych numerach tańca, wszyscy zaproszeni w odpowiednich grupach, ustawiali się, prowadzeni przez Liktora przed oblicze Kleopatry i składali jej głęboki ukłon. Na zakończenie pantomimy, Mark Antony recytował wersety ze sławnych „Nuits Egyptiennes" poczem rozpoczął się bal, który w szalonem ożywie niu trwał do białego dnia.

Znajdował się tam cały wielki świat New-Yorku, przedstawiający miljardy, a wszyscy uczestnicy chcieli się prześcignąć w przepychu strojów i blasku klejnotów. Stąd oczywiście wytworzyła się całość niebywała, zdumiewająca, przechodząca wszystko, co sobie wyobrazić można. Jeden z najwspanialszych kostjumów posiadała córka króla naftowego, Rockefeller'a. Był to strój Minerwy, złożony z bezcennych białych koronek i przybrania głowy w stylu ateńskim z samych najwspanialszych starożytnych, indyjskich brylantów. Panna Dorota Roosevelt, córka ex-prezydenta, nosiła kostjum perski, o jakim tylko śnić wolno — a sam pan Roosevelt zjawił się na balu w kostjumie bogatego arabskiego kupca. Sala balowa tonęła w świetle, kwiatach i najcudowniejszych stylowych dekoracjach.

Tak się bawią w Ameryce... miljarderzy.



Zabawa miljarderów. Taniec Salome.

Ubiory dziecięce.

Kwestja ubierania dzieci wogóle a dziewczynek w szczególności, jest ważnem zadaniem każdej matki rodziny. Podlegała ona już rozmaitym dyskusjom i jak dotąd nie została rozstrzygnięta.

Mody dziecięce zmieniają się na równi z innemi, gdyż stanowią również poważną gałęź przemysłu i handlu i jako takie muszą mieć swój racjonalny rozwój i zastosowanie.

W tem, jak we wszystkiem, główną sprężyną normującą *jakość* tej frakcji Mody, są materjalne warunki obowiązujące tych, którzy łożą na stroje dziecięce. Inaczej musi być ubrane dziecko rodziców zamożnych a więc takich, którzy sami stroją się wytwornie, inaczej dziecko, którego rodzice znajdują się w warunkach średnich a jeszcze inaczej dziecko rodziców zdobywających z trudem byt codzienny.

Przypatrzmy się bliżej tym różnorodnym rodzajom ubrań dziecięcych. Zaczynam od warunków uprzywilejowanych materjalnie i biorę pod specjalną uwagę Modę w zastosowaniu do dzieci—zamożnych.

Prostem i logicznem jest, że matka ubierająca się wytwor-

nie i zbytkownie, musi tak samo, to jest, w tym samym tonie i proporcjach, ubierać swe dzieci. To też zbytek w tym kierunku przybrał duże rozmiary. Bogate dzieci stroją bajecznie, wszystkie kosztowne materjały są w tym celu stosowane, prócz brokateli, złotych lam, i ciężkich adamaszków, oraz pewnych gatunków futer, których dzieci *jeszcze* nie noszą. W porze letniej ulubionym materjałem na sukienki dzieci *de luxe*, to jest zbytkownych, jest *Crêpe de Chine*, *voile Ninon*, *mousseline des Indes* i t. p. Dziewczynki noszą na wzór matek gazowe pończoszki i jedwabne trykociki, wytworne giemzowe, lakierowane lub adamaszkowe pantofelki albo buciki z guziczkami. Kapelusze obszywane drogiemi koronkami, długie za łokieć rękawiczki i t. d. Charakterystyką teraźniejszej dziecięcej Mody jest dla panienek krój sukienek obcisły, długości do pół łydki, przepasanie powyżej talji—drugi typ cokolwiek odmienny, o wiele krótszy tak zwany angielski, polega na pełnych trykotach do paska i rodzaju jakby paltocika odsłaniającego kolanka. Płaszczyki te mają często krój i wygląd kimona i wtedy stroju dopełnia japoński spiczasty kapelusik z jakąś na rondzie egzotyczną gałązką. Robią także dla dziewczynek króciutkie, wąziutkie spódniczki, obszyte u dołu galonem lub białym łabędzim puszkiem—do nich rodzaj *vestes*, bardzo krojem zbliżonych do noszonych przez mamy, obszywają te *vestes* frendzelką i ozdabiają guziczkami.



Z dziecięcych mód.

W Anglji najbogatsze dzieci zamieszkałe na wsi w najwspanialszych pałacach okolonych cudnymi parkami, mają specjalne ubrania sprowadzone do minimalnych rozmiarów. Są to trykociki takie jak do morskich kąpieli, odsłaniające stopy i górną część nóg, trykociki mają głęboki dekolt i są bez rękawów — na wierzchu noszą bluzeczki z surowego cieniuchnego jedwabiu, przepasane wstążką lub paskiem... Malutkie te damy—ubierają się tylko wtedy, gdy jadą do miasta.

Dla dzieci osób mniej zamożnych, ubiór przedstawia się inaczej. Oczywiście o ile dzieci są w lecie na wsi, korzystają z *angielskiej* swobody i ubierają się jaknajmniej. W mieście, rozsądne matki starają się o to, by dziecko ubrane było czysto, zgrabnie, z uwzględnieniem noszonego kroju sukienek—ale nie dopuszczają zbytku do tych ubiorów, gdyż wiedzą dobrze, jak szybko u dziewczynek budzi się i rozwija niewczesna zalotność strojem podsycana, oraz luksusowe przyzwyczajenia tak zgubnie działające na przyszłość...

W ubiorach dziecięcych, jak wogóle we wszystkiem co wytwarza złożoną całość życiową, trzeba chcieć i umieć zachować nieocenioną zbawczą i mądrą równowagę — ten piękny wzorowy umiar, będący podstawą racjonalnego bytu, zapewniającego spokój a tem samem choć cząstkę szczęścia.

Marcèle.

NOWINY I NOWINKI.

Suma posagów.

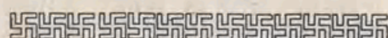
Ciekawą jest statystyka posagów wywiezionych z Ameryki przez ożenionych tam europejczyków. Pierwsze miejsce zajmują Niemcy. Pięciu książąt, ośmiu hrabiów i trzynastu baronów niemieckich, mają żony i posagi... amerykańskie. Dwudziestu trzech przedstawicieli szlachty angielskiej, wywiozło również żony z Ameryki—Włosi w liczbie 17 hrabiów — Francja w liczbie tylko czternastu swych obywateli -- ale za to przedstawicieli arystokracji rodowej zawarła związki małżeńsko-posagowe z drugą półkulą.

Wyludnienia.

Nie tylko we Francji zmniejsza się ludność, bo oto skonstatowano, że w Niemczech w ostatnich latach zaczął się przejawiać ten sam społeczny kryzys. Jest to jednym dowodem więcej, że ciężkie materjalne warunki w połączeniu z coraz to większemi wymaganiami nakładanemi przez cywilizację, nie pozwalają ludziom powiększać obowiązków, idących śladem powiększającej się wciąż rodziny. Jest to zaklęte koło, z którego nie łatwo będzie wydostać się zanikającemu społeczeństwu.

Rady i wskazówki.

Panu B. K. w Łodzi. Proszek mydlany do golenia firmy „Iris“ pod względem dobroci nietylko nie ustępuje wyrobom, najbardziej w tym kierunku renomowanym, ale je nawet przewyższa. Puder „Iris“ dlatego cieszy się takiem uznaniem, że jako niezawierający ani bizmutu, ani ołowiu jest bezwzględnie nieszkodliwym. Oprócz tego jeszcze posiada wszystkie te zalety, jakich się wymaga od dobrego pudru tualetowego: przylega niedostrzegalnie do skóry, wydelikatnia cerę, zabezpiecza od wpływów atmosferycznych; jest więc wyrobem par excellence kosmetycznym.



POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

PRZYSZŁOŚĆ LOTNICTWA.

„Wymyśleć maszynę latającą jest niczem,
„Wybudować ją — jest drobnostką,
„Wypróbować ją — jest wszystkiem".

Kap. F. Ferber
L'Aviation.

Kiedy 14-go stycznia 1908 roku rozeszła się po całym świecie wieść, że dnia poprzedniego Henri Farman, jeden z najwybitniejszych sportsmenów francuskich, zdobył wielką nagrodę Deutsch-Archdeacon za wykonanie na swoim dwupłatowcu zamkniętej pętlicy długości 1 kilometra (t. j. za oderwanie się od ziemi i powrócenie do miejsca wzlotu, przyczem długość linji lotu wynosiła więcej niż 1 kilometr), wszyscy, nieliczni jeszcze zresztą wówczas, zwolennicy aparatów cięższych od powietrza, oprócz kilkunastu specjalistów prawdziwych, byli przekonani, że zupełny podbój atmosfery jest faktem dokonanym. Wypadki szybko następujące po sobie zdawały się zdanie to potwierdzać. Zjawiła się cała plejada lotników, dokonywujących coraz śmielszych, wyższych i dłuższych wzlotów: bracia Orville i Wilbur Wright, Blériot, Delagrange, Santos-Dumont, Latham, Paulhan i w. in. Hojni mecenasi ofiarowywali znaczne nagrody pieniężne, zaczęto urządzać konkursy, rozwinęło się współzawodnictwo i wskutek tego prawie każdy miesiąc przynosił nowy postęp, nowy tryumf awiatyki. Dzisiaj doszliśmy już do tego, że wysokość wzlotów przekroczyła 5,000 m. (Garros, Legagneux), długość—kilkaset kilometrów bez lądowania (Beaumont, Vedrines, Tabuteau). Pomimo tak świetnych rezultatów wiedzą dobrze ci, którzy się tą sprawą interesują, że zadanie zupełnego podboju atmosfery jest jeszcze nierozwiązane, że to, co dotąd otrzymaliśmy, jest tylko rozwiązaniem ubocznem. Co więcej, wiedzieli o tem dobrze z góry zarówno wynalazcy, jak i konstruktorzy samolotów, i, jeżeli poszli tą drogą, to jedynie dlatego, iż, byli pewni niemożliwości, na razie przynajmniej, osiągnięcia prawdziwego rozwiązania. *)

Postaramy się to wyjaśnić.

Jeżeli zwrócimy uwagę na jakiegoś ptaka większych rozmiarów, przypuśćmy z gatunku drapieżników, np. sępa, zauważymy, że ptak ten nieraz godzinami całemi unosi się wysoko w powietrzu z rozpostartemi skrzydłami, absolutnie bez ruchu. Zoczywszy zdobycz, zwija skrzydła i kulą spada prostopadle na ziemię. O ile chybi upatrzonego celu, nie dolatując do ziemi rozwija skrzydła i bez żadnego wysiłku, siłą nabytego rozpędu, co najwyżej uderzywszy dwa lub trzy razy skrzydłami, po linji pochyłej wzbija się z powrotem na poprzednią wysokość. Manewr ten powtarza nieraz kilkanaście razy z rzędu. Jest to tak zwana po francusku „passade du faucon".

Jeżeli obserwacje nasze powtórzymy kilkakrotnie i dane otrzymane z badania tego rodzaju lotu i szybowania porównamy z odpowiedniemi danemi dostarczonemi przez badanie lotu i właściwości któregokolwiek z egzystujących dzisiaj płatowców, rzucą nam się w oczy natychmiast trzy zasadnicze różnice pomiędzy niemi: 1) Stosunek powierzchni nośnych (skrzydeł) ptaka do jego wagi jest znacznie mniejszy od stosunku powierzchni nośnych płatowca do jego własnego i unoszonego ciężaru. 2) Ptak w czasie lotu, a zwłaszcza w czasie szybowania zużywa minimalną ilość siły, gdy tymczasem dzisiejszy przeciętny płatowiec dwuosobowy jest zaopatrzony motorem o sile 40—60 koni mech., działającym w czasie lotu bez przerwy. Różnica stosunku zużycia siły w obydwuch wypadkach jest jeszcze o wiele więcej rażąca niż różnica stosunków w punkcie 1. 3) Ptak ma możność w bardzo szerokich granicach regulowania szybkości swego lotu, ewentualnie nawet doprowa-

*) Nad samą zasadą lotu płatowców wobec tylokrotnego wyjaśnienia jej zarówno w popularnych, jak i specjalnych naukowych artykułach i książkach rozwodzić się tutaj nie będziemy.



Aeroplan jednopłatowiec silnego typu — na lądzie.



Aeroplan dwupłatowiec w powietrzu, podczas wywiadów wojskowych.

dzenia jej do zera, t. j. możność unoszenia się dłuższy czas nad jednym i tym samym punktem. Tymczasem lotnik nie może nietylko zatrzymać się w powietrzu, lecz nawet zmniejszyć szybkości swego lotu po za pewną granicę (około 40 kilom. na godzinę) pod groźbą natychmiastowego opadania na dół. Nawet w wypadkach nieprzewidzianego zatrzymania się motoru jest on tylko w wyjątkowych warunkach w możności łagodnego opuszczenia się na ziemię bez narażenia siebie i aparatu na szwank.

Jak widzimy więc daleko jeszcze człowiekowi do zupełnie swobodnego i bezpiecznego bujania w przestworzach.

Zdawałoby się, że człowiek, wiedząc zgóry, iż nie stworzy nic doskonalszego od tego, co stworzyła natura, powinien był poszukać w niej wzoru i starać się naśladować lot ptaków. Tak też w rzeczywistości było od początku, tak jest i dzisiaj jeszcze. Przeważna część debiutujących wynalazców i konstruktorów obiera ten punkt wyjścia. Nie wspominając już o starożytności, od czasów jednego z najgenjalniejszych na świecie wynalazców, Leonarda da Vinci (r. 1500), do ostatnich chwil ubiegłego stulecia było bardzo wielu takich, którzy starali się rozwiązać zadanie unoszenia się i szybowania w powietrzu zbudowaniem praktycznego ornitopteru czyli sztucznego ptaka. Mając możność obserwowania lotu ptaków tylko gołem okiem lub za pomocą lunety, ówcześni wynalazcy byli przekonania, że ptak wykonywa skrzydłami podczas lotu ruch z góry na dół i z powrotem. Na tej zasadzie opierano budowy aparatów. Niezwykłą trudność stanowiło w danym wypadku połączenie skrzydła z korpusem, gdyż, o ile w mechanice łatwo jest przy użyciu jakiegokolwiek motoru otrzymać ruch rotacyjny (wirowy), o tyle nader trudno otrzymać ruch prostolinijny alternatywny (t. j. tam i z powrotem). Z wybitniejszych prób w tym kierunku możemy zaznaczyć następujące: Besnier (1678), de Bacqueville (1742), Degen (1812), Bréant (1854), de Groof (1864), Trouvé (1870). W roku 1872 zbudował Pénaud bardzo dowcipnie pomyślany aparat, który, zdawało się, powinien był osiągnąć cel zamierzony. Jednakże próby dokonane z nim wypadły dla niewyjaśnionych jeszcze wówczas przyczyn zupełnie niepomyślnie. W końcu XIX wieku dwaj Francuzi: kapitan Ferber i komendant Renard dowiedli na zasadzie obliczeń teoretycznych, że przy uderzeniu skrzydła zgóry na dół korzystamy jedynie z pionowego współczynnika oporu powietrza, który jest tak mały, że wydajność ruchu skrzydła jest dla utrzymania się w powietrzu absolutnie niewystarczająca. Zagadka lotu ptaków była jeszcze nierozwiązana. Dopiero dzięki wybitnym pracom Marey'a i rodaka naszego Stefana Drzewieckiego, dzięki olbrzymiej ilości dokonanych przez nich migawkowych zdjęć fotograficznych sprawa się wyjaśniła. Ptak w czasie lotu wykonywa skrzydłem ruch helikoidalny (śrubowy), t. j. w czasie uderzenia skrzydło idzie jednocześnie z góry na dół i z przodu w tył, powrotny zaś ruch skrzydła składa się również z dwuch jednoczesnych ruchów: z dołu do góry i z tyłu naprzód *). Oprócz tego ptak posiada na całym obwodzie skrzydła nader czułe lotki, skrzydło zaś, połączone z korpusem organicznie, pokryte jest całą siecią nerwów i muskułów. Nerwy idą do mlecza pacierzowego i mózgu, mięśnie zaś,

*) Wzór tego ruchu możemy mieć stale przed oczami. Ponieważ, zarówno człowiek jak i ptak, należąc do stworzeń kręgowych, mają z sobą niektóre cechy wspólne, przeto w dłoni mamy ten sam układ kości i mięśni, co ptak w skrzydle. Przyjrzawszy się dobrze wspomnianym fotografjom Marey'a będziemy mogli z całą łatwością ruch skrzydeł ptaka naśladować dłonią.

pod wpływem reakcji mózgu, pozwalają ptakowi odruchowo wyginać rozmaicie, odpowiednio do potrzeby, zarówno płaszczyznę skrzydła, jak i lotki, i wykonywać skrzydłem ruchy skomplikowane.

Jak widzimy, zbudowanie aparatu choćby tylko przybliżającego się do tego doskonałego wzoru, jaki stworzyła natura, przedstawia trudności nieprzezwyciężone. Przypuśćmy, że inteligencja człowieka może zastąpić nerwy i instynktowne odruchy ptaka, którymi kieruje w czasie lotu zarówno ruchami, jak i ukształtowaniem skrzydeł i pozycją lotek. Czy jednak jesteśmy w stanie skonstruować i związać odpowiednio z korpusem aparatu takie sztuczne skrzydło, któreby stosownie do naszej woli tak się zachowywało i tak działało, jak skrzydło ptaka? Przy dzisiejszych naszych wiadomościach w dziedzinie mechaniki i konstrukcji jest to rzecz absolutnie niemożliwa. Czy się urzeczywistni kiedykolwiek? Umysł ludzki dał dotąd tyle dowodów swej potęgi, że nietylko zaprzeczyć temu nie możemy, lecz powinniśmy nawet mieć nadzieję, że do tego dojdziemy. W każdym razie nie nastąpi to prędko. Nie będzie to rezultatem jednego genjalnego wynalazku, lecz owocem szeregu długich i mozolnych teoretycznych i praktycznych badań, doświadczeń i prób.



Z fantastycznej akrobatyki przyszłości.
Może podróżny z szybującego aeroplanu przy pomocy spadochronu dostawać się będzie na pokład płynącego okrętu?

Niech więc ci, którym sprawa rozwoju lotnictwa jest blizka, nie zrażają się trudnościami, niech pamiętają a tem, że do roku 1907 nieliczną garstkę ludzi marzących wówczas o aparatach latających nazywano powszechnie warjatami, niechaj dewizą ich będzie hasło, które powinno być pobudką dla wszystkich miłujących wiedzę i postęp: *„Avanti!“*

A. Wiewiórowski.

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Niedosłyszalne dźwięki.

Twierdzenie, że istnieją dźwięki niedosłyszalne, przeczy samo sobie, albowiem pojęcie dźwięku opiera się na słyszalności. Ale z punktu widzenia fizyki można dźwięk pojmować inaczej, a mianowicie: jako wynik określonych drgań.

W ten sposób twierdzono już oddawna, że np. niektóre owady wydają dźwięki, jakich nigdy nie słyszało ludzkie ucho, chociaż wiadome są narządy, za pomocą których dźwięki te są wytwarzane. Prócz tego u poszczególnych osób, zdolność słyszenia bardzo wysokich tonów, bardzo jest różna. W przypadkach lekkiej głuchoty niektóre wysokie dźwięki znikają, ale przy normalnym nawet słuchu, zdolność słyszenia takich, rzec można szmerów, nie u wszystkich jest jednakowa. Są ludzie, skądinąd obdarzeni normalnym słuchem, którzy nie słyszą cichego pisku nietoperza. Helmholtz ustalił, że granica słyszalności dźwięków leży między 30 i 38000 drgań na sekundę. Nie ulega kwestji, że tony bardziej wysokie, t. j. mające więcej niż 38000 drgań na sekundę, bardzo są rozpowszechnione w przyrodzie i że istnieją zwierzęta, które mogą przyswajać sobie te dźwięki. Celowość przyrody bezwarunkowo sięga tak daleko, że mamy zupełne prawo przypuszczać, iż istnieją uszy, chwytające wszystkie dźwięki. Przecież oko, do którego nie dostają się promienie słoneczne—zanika, i zwierzęta przystosowane do życia w jaskiniach, powoli ślepną. Dlatego, jakieś bardzo subtelne ucho, gdyby nie znajdowało dźwięków, wywołujących podrażnienie słuchowe — w bardzo krótkim czasie podległoby zanikowi. Z trudnością słyszenia dźwięków kojarzy się następujący, często notowany fakt. Niedosłyszący ludzie np. nie słyszą zazwyczaj litery *c*. Środki oznaczania drgań, wywoływanych jakimś dźwiękiem, dają możność ustalenia, że dźwięk *c* składa się z szeregu fal, które sięgają granicy słyszalności, a nawet niekiedy ją przekraczają. Ostatnio dwaj fizycy, prof. Camball i Day zamieścili w „Electricion“ nową pracę, w której dowodzą istnienia niesłyszalnych dźwięków. W doświadczeniach swych posługiwali się falami elektrycznemi, z których wychodzą fale dźwiękowe, ale o tak krótkich i wysokich tonach, że znajdują się one bardzo daleko, poza obrębem ludzkiej zdolności słyszenia. Obaj badacze wynaleźli bardzo prosty środek, dzięki któremu można chwytać nawet te, niedosłyszalne napozór—dźwięki. Oto przez usypane lekkim proszkiem dno rurki przeprowadzali fale elektryczne. Siła dźwiękowych fal wprawiała proszek w ruch, a rozprzestrzenienie się cząsteczek proszku odpowiadało rozprzestrzenieniu się fal dźwiękowych. W ten sposób udało im się dowieść istnienia tonów, mających 800000 drgań na sekundę.

Hodowla żółwi w Japonji.

W ostatnich czasach w Japonji rozwija się nowa gałąź przemysłu, a mianowicie hodowla żółwi.

Wiadomo, że w niektórych krajach żółwie uważane są za

przysmak. W Anglji i Stanach Zjednoczonych na rynek sprowadza się tylko te żółwie, które rybacy wyławiają z morza. I oto przedsiębiorczy japończycy, pragnąc zaspokoić wzrastający wciąż popyt, poczęli hodować żółwie sztucznie, w specjalnie urządzonych fermach.

Niejakiś Hatori zbudował w okolicach Fukagawy, niedaleko od Tokio, trzy olbrzymie fermy i hoduje tam gatunek Trionyx japonicus (żółw japoński). Żółw ten odznacza się miękkim pancerzem i długą główką.

Trzy fermy dają rocznie około 800,000 jajek, z których wykluwa się 60,000 żółwi, sprzedawanych po upływie 3 lat po 70 kop. za funt. Jeśli obliczymy że trzyletni żółw waży prawie $^3/_4$ funta, to sprzedaż może przynieść przedsiębiorstwu około 32,000 rub. rocznego dochodu.

Hodowla żółwi odbywa się w specjalnych korytach, napełnionych wodą z sąsiedniej rzeki. Każde koryto ma w przybliżeniu, około 1 metra głębokości. Dno jego pokryte jest grubą warstwą mułu, w którym żółwie zakopują się na przeciąg zimowego snu.

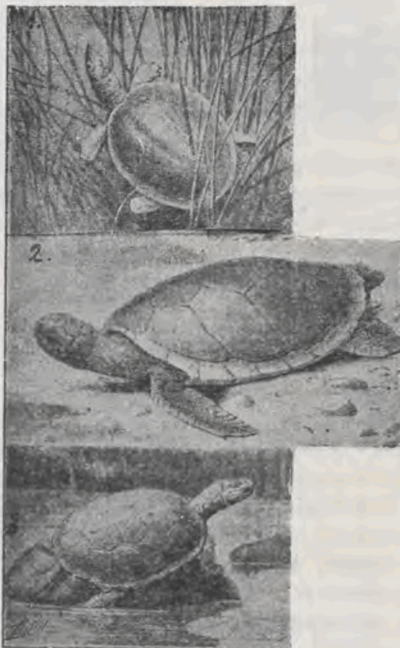
Od końca maja do połowy sierpnia, samice żółwi niosą jajka. Czynią to w sposób następujący: wyłażą z wody na brzeg, wybierają sobie odpowiednie miejsce, zakopują przednie nóżki w ziemi, a za pomocą tylnych nóżek kopią dołek, do którego składają potem zniesione jajka. Dołek ten żółwie kopią bardzo szybko, jednocześnie pogrążając w ziemię obie tylne łapki i jednocześnie rozprężając je w bok, ze zdumiewającą siłą. Po skończonej pracy, dół przedstawia zagłębienie, mające zazwyczaj 10 centymetrów głębokości i tyleż długości i szerokości.

Żółw znosi 17—28 okrągłych lub wydłużonych nieco jajek, których średnica wynosi przeszło 2 cale. Po złożeniu jajek, żółw zasypuje je piaskiem, poczem wyciąga przednie łapki z ziemi i wraca po specjalnej dróżce do koryta, ani trochę nie troszcząc się o swe potomstwo.

Prof. Mitsukuri, badający życie żółwi, spostrzegł, że nie lubią one, aby im przeszkadzano, lub nawet patrzono na nie, w czasie składania jajek. „Jeśli pragniemy obserwować samicę żółwia—powiada — i widzieć, jak ona składa jajka, to trzeba czołgać się na czworakach i patrzeć przez szparę ogrodzenia, zachowując wielką ostrożność, gdyż, jeśli żółw spostrzeże, że jest śledzony—wnet przerwie swą pracę i szybko powróci do koryta“.

A dalej pisze:

„Niejednokrotnie byłem świadkiem faktów zasługujących na głęboką uwagę. Kiedy młoda samica poraz pierwszy składa jajka, jest jeszcze bardzo niezgrabna, dół wykopuje w nieprawidłowy kształt i źle go zasypuje. Zaś stara samica spełnia swą pracę z wielką dokładnością, i po gnieździe odrazu można poznać ile miała lat samica, która je zbudowała, a z odległości między śladami przednich łapek a miejscem, gdzie były złożone jajka, można określić jej wzrost. Bezwątpienia w budowie swych gniazd, zwierzęta kierują się instynktem, przez doświadczenie zaś osiagają wielką zręczność.“



Trzy okazy jadalnych żółwi: 1) Trionyx japonicus z Japonji; 2) Testudo viridis z Europy; 3) Malacoclemmys z Ameryki.

Codziennie nowe gniazda okrywa się koszykami, aby ich nie rozkopały inne żółwie. Na koszykach oznacza się datę, kiedy gniazdo zostało usypane.

Po upływie 60 dni, jeżeli pogoda jest ciepła i sucha, z jajek wykluwają się małe żółwie, jeżeli zaś padają deszcze, to wyklucie następuje nieco później.

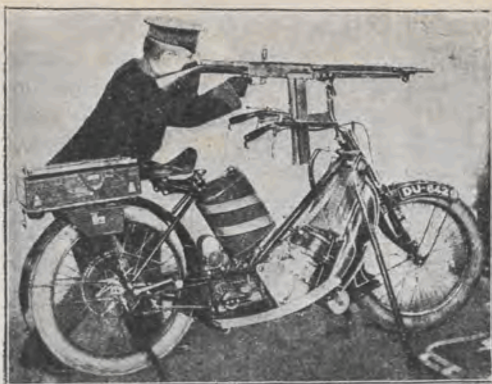
Maleństwa oddzielone są od starszych nizkiem ogrodzeniem, gdyż inaczej pożarłyby je stare żółwie. Tuż przy ogrodzeniu wkopuje się w ziemię naczyńka z wodą. Kiedy maleństwa, dopiero co wyklute z jajek, schodzą po pochyłej dróżce, biegnącej wokół koryta—instynktownie dążąc do wody — natrafiają na ogrodzenie i szukając przejścia, dostają się do naczyń z wodą. Wówczas przeniesienie ich do specjalnych koryt, gdzie odbywa się odkarmianie—nie przedstawia już żadnych trudności.

Ale odkarmianie jest rzeczą dość trudną. Po kilku próbach Hatori wprowadził następujący system karmienia: z początku maleństwo karmi się siekaną morską rybą (rodzaj sardynek), którą im się daje do końca września, t. j. do zimowego snu.

Przy takim systemie żółwie rosną szybko. Po wykluciu ważą 4 gramy, po upływie roku—169 gramów, a po czterech latach dosięgają 750 gramów. Jadalne są od drugiego roku, do czwartego. Należy jeszcze dodać, że żółwie lubią mętną wodę, w czystej zaś niepokoją i lękają się niekiedy do tego stopnia, że przestają jeść; aby temu zapobiedz, do koryt wpuszcza się karpie i węgorze, które bezustannie mącą wodę.

Motocykl-armatka.

Taką nazwę nosi karabin maszynowy, zastosowany do motocyklu. Broń to straszna, mogąca „wypluć“ na minutę 300 kul, skutecznie więc może przeciwstawić się szwadronowi kawalerji lub rocie piechoty. Karabin jest odpowiednio umocowany przy kierowniku motocykla i to w ten sposób, że można bardzo wygodnie celować lub też puścić go w ruch automatyczny, żeby koniec lufy zakreślał poziomy łuk; kule wówczas rozlatują się i rażą przeciwnika w promieniu kilku wiorst a kula od kuli n. prz. w odległości, powiedzmy, trzech wiorst od morderczej maszyny—pada co 2 stopy, a można również nastawić maszynerję i w ten sposób żeby kule pada-



Motocykl-armatka (daje 300 strzałów na minutę).

ły gęściej lub rzadziej, wolniej lub prędzej. Przy motocyklu mieści się magazyn na kilkanaście tysięcy naboi, podpórka żeby ustawić motocykl przy strzelaniu i wogóle wszelkie urządzenia, mające na celu wygodę strzelającego i skuteczność strzałów. Próby, czynione z motocyklem-armatką, wypadły świetnie a chociaż nie do żywych celów strzelano, jednakże można się było już przekonać jakie spustoszenie szerzyć ona będzie podczas bitwy w szeregach nieprzyjacielskich. Ludzie wciąż zdobywają się na nowe pomysły, obliczone na ciągłe wzajemne wytępianie się. I dzieje się mord wojenny... uznany przez społeczeństwo i kraje a wciąż nowe ofiary krwią przelaną zraszają matkę-ziemię.

Promieniotwórczość ciała ludzkiego.

W ostatnich czasach ustalono, że zdolność promieniowania nie tylko posiadają takie ciała, jak rad, uran i t. d., lecz również powietrze, śnieg, deszcz, źródła i t. d.

To też niezbyt zdziwiło nas odkrycie, że ciało ludzkie w danym wypadku, nie stanowi bynajmniej wyjątku, t. j. również posiada zdolność promieniowania. Bardziej szczegółowe badania tej własności ogłosił dr. Caan. w „Münchener Medizinischer Wochenschrift“.

Aby dowieść obecności promieni, wykorzystano ich własność czynienia otaczającego powietrza — przewodnikiem elektryczności. W zwykłem powietrzu naładowany elektroskop nie wyładowuje się zupełnie, albo wyładowuje się bardzo powoli. Jeżeli zaś radjoczynne promienie padają na otaczającą ich warstwę powietrza, to staje się ono wówczas dobrym przewodnikiem elektryczności i elektroskop wyładowuje się natychmiast. Zwykły elektroskop nie jest dostatecznie czuły, aby mógł być używany do tych doświadczeń. Dlatego doktór Caan posługiwał się bardziej czułym aparatem, t. zw. kwadratowym elektroskopem. Do doświadczeń używano części trupa, uprzednio wysuszonych w odpowiednio wysokiej temperaturze.

Okazało się, że ze wszystkich części ludzkiego ciała, największą zdolnością promieniowania odznacza się mózg. Na drugim planie intensywności promieniotwórczej znajduje się serce i wątroba; promieniotwórczość nerek i śledziony, nie była jeszcze poddawana badaniom. Rasa danego człowieka nie ma widocznie wpływu na intensywność promieniowania, chociaż wiek osobnika gra tu pewną rolę. Części męskiego ciała odznaczały się większą zdolnością promieniotwórczą, niż części ciała kobiecego. Ale doktór Caan zaznacza, że z tych danych nic jeszcze nie można wnioskować, ponieważ ilość badanych ciał zbyt jest dotychczas mała.

Proszek perski.

Do najobszerniejszej rodziny świata roślinnego, t. zw. roślin „złożonych“, do których zaliczamy stokrotkę, złocień, rumianek, astry, osty i mnóstwo innych, należy wiele roślin, które bądź z powodu silnego zapachu, bądź z powodu jadowitych własności substancji zawartych w ich łodygach, mają własność odstraszania, a nawet zabijania rozmaitych owadów, które w ten czy inny sposób żyją naszym kosztem. Rośliny te są często zarazem roślinami ozdobnemi, jak np. złocień łąkowy (chrysanthemum leucanthemum). Do nich też należą i dwa gatunki maruny (Pyrethrum carneum i P. roseum), których pyłek kwiatowy odznaczający się silnym, przenikliwym zapachem, znany jest pod nazwą „proszku perskiego“. Zapach ten zawdzięczamy zawartemu w pyłku olejkowi. Dwa te gatunki, botanicznie nawet trudne do odróżnienia, rosną dziko w Persji i na Kaukazie; obecnie jednak zajęte są już pod nie wielkie plantacje w południowej Rosji, na których są uprawiane sztucznie. Proszek, znajdujący się w handlu, stanowi zazwyczaj mieszaninę pyłku kwiatowego obu tych gatunków. Dla otrzymania jednego grama proszku trzeba całego kilograma, t. j. tysiąc razy więcej na wagę, świeżych kwiatów maruny. Roślina ta, udająca się dobrze na różnych gruntach, znalazła jako środek przeciw owadom domowym zastosowanie stosunkowo niedawno, gdyż dopiero w pierwszej połowie XIX stulecia, ogrodnikom jednak była znana już daleko dawniej, gdyż i ona, nie tylko ze względu na piękne kwiaty, lecz i na swe miłe dla



Maruna różowa.
(Do art. „Proszek perski“.)

oka, drobno i delikatnie ząbkowane liście, należy do roślin ozdobnych i zwłaszcza w dawniejszych czasach odgrywała bardzo poważną rolę w ornamentyce, służąc nawet malarzom i rysownikom za wzór do winiet i t. p.

Działanie podzwrotnikowego słońca na człowieka i zwierzęta.

Pewien amerykański uczony M. G. D. Hibbs, docent uniwer-

sytetu na Filippinach, wykonał w Manilji ciekawe doświadczenia, wyjaśniające, jaki charakter ma działanie podzwrotnikowego słońca na człowieka i zwierzęta. Określał on u ludu i zwierząt różnych ras temperaturę skóry wystawionej na bezpośrednie działanie podzwrotnikowego słońca, skóry ochronionej za pomocą uwłosienia lub odzieży, i *podskórną* temperaturę małp i królików.

W cieniu temperatura skóry ludzkiej jest zawsze niższa od temperatury krwi. Na słońcu temperatura białej skóry podwyższa się niekiedy szybciej, niż temperatura skóry kolorowej, a po owem początkowem podwyższeniu, temperatura skóry kolorowej daje większe *maximum*, niż skóry białej. Przy dłuższem działaniu słońca, wskutek przypływu krwi i rozdrażnienia naczyń krwionośnych i ich nerwów—wynika zapalenie skóry, któremu podlega jednak wyłącznie *skóra biała*. Skórę kolorową od zapalenia chroni zabarwienie.

Kolorowa skóra, pochłaniając szybciej ciepło, jednocześnie traci je szybciej niż biała skóra. Wskutek tego, zapewne, rasy kolorowe łatwiej znoszą upał słoneczny, niż rasy białe. Podskórna temperatura naszych małp w cieniu jest zupełnie normalna, na słońcu zaś podskakuje niekiedy do 48^0, co często powoduje śmierć. Wystawione na działanie podwzrotnikowego słońca, białe, czarne i szare króliki, giną prawie wszystkie. Czarne giną najpierw, a potem — białe. Według Hibbsa odzież, mająca ochraniać od palących promieni, powinna dawać możliwie duży cień, nie utrudniając jednocześnie pochłaniania przez powietrze wyziewów ciała. Wyższości białych tkanin nad kolorowemi dowiodły doświadczenia czynione z królikami i skórą okrytą odzieżą.

Idealne warunki ochrony od słońca, wytwarza cień od białego parasola, obramionego zieloną wstęgą, oraz lekka odzież.

Kolej wzdłuż Afryki.

Olbrzymi projekt angielski — przeprowadzenia kolei przez całą Afrykę, od Przylądku Dobrej Nadziei do egipskiego Kairu zbliża się szybkimi krokami do urzeczywistnienia. Trzeba zbudować tylko 1440 kilometrów, aby utworzyć połączenie tych dwuch punktów bez przerwy; nie będzie to wprawdzie wyłącznie połączenie kolejowe, gdyż na górnym Nilu i wielkich jeziorach kursują statki, łączące stacje kolejowe. Budowa, pomimo trudności terenu, klimatu (białe mrówki i choroba śpiączki), dzikich zwierząt i wrogiego zachowania się mieszkańców, postępuje energicznie, tak, że dziennie przybywa 1.6 kilometra kolei. Inżenierowie są przekonani, że w ciągu 900, najwyżej 1000 dni kolej będzie gotowa. Oczywiście kolej nie zastąpi prostej drogi morskiej do Kapsztatu. Ale otworzy dla eksploatacji przez Anglików wnętrze lądu afrykańskiego, wypuści na wschód i zachód rozgałęzienia kolejowe i stanie się olbrzymią gospodarczą arterją komunikacyjną.



PREMJUM ARTYSTYCZNE „ZŁOTEGO ROGU".

W dniu 15-ym maja r. b. odbędzie się w lokalu naszej redakcji, Królewska 27, przyznanie szczęśliwym wybrańcom losu z pośród naszych **półrocznych** i **rocznych** prenumeratorów, artystycznego premjum za kwiecień r. b., na które składają się następujące obrazy:

1) **P. Rosena** — „Studjum".
2) **P. Rosena** — „Studjum".
3) **H. Piątkowskiego** — „Zbiór owoców".
4) **J. Łuczyńskiej** — „Główka".

Uwaga. Prenumeratorowie, których załatwiają księgarnie a nie nasza administracja bezpośrednio, pragnąc uczestniczyć w losowaniu, winni przed terminem, za pośrednictwem odnośnych księgarń, ujawniać swoje nazwiska i adresy.

Numer niniejszy poświęcony jest Oskarowi Wilde'owi, dalszy więc ciąg beletrystyki, działu „Literatura nasza i obca", znajdzie czytelnik w następnym numerze.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3** str. okładki 20 k. **Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.